



Projekt współfinansowany z środków Unii Europejskiej w 80% z Europejskiego Funduszu Orientacji i Gwarancji Rolnej – Sekcja Orientacji oraz w 20% z budżetu państwa.

## **HISTORIE PRAWDZIWE, POWIASTKI LUDOWE BAJDY ANEGDOTY**

**MIKROREGIONU CZTERECH GMIN:  
GOLUB-DOBRZYŃ, KOWALEWO, CIECHOCIN, ZBÓJNO**  
Napisał - Piotr Grażawski

**Golub-Dobrzyń 2007**

**Związek Stowarzyszeń Lokalna Grupa Działania „Dolina Drwicy”**

**Piotr Grażawski**

## Spis treści

Wstęp.....	3
I. Ostatnia szarża polskiej husarii.....	4
II. O biskupie Janie, rycerzu Mikołaju,, mistrzu Henryku i królu Władysławie.....	7
III. O duchu w kościele i wytrwałości.....	11
IV. Leśny grób.....	12
V. O tym jak w Kurencji Prusaków uczęstowano.....	16
VI. O tym jak obraz Matki Boskiej Brzemiennej do Chełmonia trafił.....	17
VII. Skąd wyszedł potężny i męzny ród.....	21
VIII. Tu, skąd duch mazurków Chopina.....	24
IX. Co oznacza herb Kowalewa?.....	27
X. Pamiątki po czartach, zbójcach, mokradłach, duchach.....	31
XI. Mówcie sobie co tam chcecie krasnoludy są na świecie.....	33
XII O przeklętej karczmie.....	35
XIII. O tym jak ksiądz Pikuliński pożar kościoła przepowiedział.....	36
XIV. O tym jak karmelici w czas morowy do Obór przyszli.....	39
XV. O garnkach „szwedkach” z ostrowickiego jeziora.....	48
XVI. Herb starego biskupa.....	49
XVII. O Natalisie, pałacu i duchu Wincentego.....	50
XVIII. O tym jak Matka Boska z Dzieciątkiem i św. Piotr zamieszkali w małych kościołach.....	54

**T**ym co chyba bezpowrotnie umyka z naszej kultury ludowej (ba, niektórzy wątpią czy jeszcze w ogóle taka jest) to umiejętność opowiadania lokalnych historyjek, powiastek, bajd, zaś co do współczesnych anegdot to powiedzmy ogólnie, że nie poruszają one spraw miejscowych i z punktu widzenia etnografii, są zupełnie bez wartości.

Tymczasem te dawne ludowe bajania, często naiwne, często fantastyczne, nadinterpretujące rozmaite zjawiska, lub zwyczajnie wyssane z palca, są prawdziwą skarbnicą wiedzy o życiu poprzednich pokoleń, o ich gustach, duchowości, zasadach moralnych, stanie ogólnej wiedzy, mentalności. Przechowują w sobie świat, którego już nie ma, bo nie ma otoczenia w którym powstały, zaś powszechna wiedza odarła niejedną wiejską tajemnicę z jej nadzwyczajności i to też powoduje, że czasem współczesny bazarz z niejakim zażenowaniem powtarza bajdę o duszach pokutnych na trzęsawisku za lasem, gdy wnuczek mądrała wie, że to nie zjawy tam świecą, a nastąpił samozapłon gazu błotnego.

Świat naraz zrobił się paskudnie wytłumaczalny, natomiast ci, którzy twierdzą inaczej powiedzmy, że „nie znajdują zrozumienia” w swojej społeczności. Zresztą rolę dawnych bazarzy przejęła dziś telewizja, komputer, wideo, które to piekielne (dla naszej sprawy) maszyny swym silnym oddziaływaniem rwą w człowieku duchowy związek z otoczeniem, a więc także z lokalną ludową tradycją kulturową, na rzecz jakiejś uniwersalnej papki bez przeszłości.

Tak więc trzeba ratować niematerialną kulturę regionu równie pieczołowicie jak jego szacowne charakterystyczne budowle i niech taka błahostkowa anegdota (opowiemy ją dalej) o pani Przystawskiej z Wielkiej Łąki będzie potraktowana niczym parę elementów ceglanego fryzu z pałacu imć pana Sulerzyskiego. Bez nich ów fryz istniałby dalej, lecz już jedynie jako szczerbata ozdoba elewacji.

Niech ten skromny zbiór historii, powiastek, anegdot z terenu czterech gmin powiatu golubsko-dobrzyńskiego będzie potraktowany jako przyczynek do zgromadzenia i opracowania pozostałej reszty (a tej roboty nigdy nie da się skończyć), która jeszcze się tli. Już tylko tli...

Dalej znajdziecie Państwo historie może znane (przynajmniej w okolicach powiatu), ledwo znane, dotąd zaszyte w etnograficznych notatkach. oraz takie które wyciągnąłem spod kurzu dziejów i dałem im nową oprawę literacką.

Niech bawią, uczą, może nawet wzruszają wszystkich, którzy lubią pogodę ducha i mają, choć troszkę sentymentu do dawnych czasów, a dedykuję je tym, dla których ten kawałek Polski złożony z gmin Golub-Dobrzyń, Kowalewo, Ciechocin, Zbójno jest Małą Ojczyzną, może krajem, gdzie pierwszy raz otworzyli oczy, zaś w przyszłości jeśli nie kości, to ducha swego serdecznego tu zostawią na wieki...

## **Kowalewo**

### **OSTATNIA SZARŻA POLSKIEJ HUSARII**



**S**tali na niewielkim wzgórzu. Po lewej stronie, w dalekiej perspektywie widać było mury Kowalewa, za nimi najpierw podmiejska łąka, a potem wąski pas trzęsawisk ciągnących się do jeziora (dziś już nie istniejącego). Z prawej zasłaniał rzadniejący las, natomiast przed nimi rozciągał się łagodny stok wzgórza przeciętego burą wstęgą drogi z Piątkowa do Kowalewa.

Wachmistrz Łaniewski pierwszy zauważył czołową kolumnę wojsk saskich wychodzącą z piątkowskiego lasu. Chwilę przyglądał się maszerującym żołnierzom, mimo woli podziwiając ich zdyscyplinowany marsz w pełnym ubezpieczeniu.

- Wyborne psubraty – mruknął do siebie, a potem wycofał się przez gęstwinę na niewielką polanę, gdzie w otoczeniu wojskowej starszyny stał regimentarz Chryzostom Gniazdowski herbu Trzaska.

- Mości pułkowniku! – zwrócił się do niego. – Mości pułkowniku, idą! Będzie co najmniej regiment, lub dwa z tych co godzinę temu podjazd nasz widział. Gniazdowski przyjął wieści bez żadnych emocji.

- Dobrze. Wracaj waszmość do komendy – zarządził. Potem położył rękę na pancernym naramienniku rotmistrza Piwnickiego.

- Adamie poprowadzisz husarię. Musisz opóźnić saski marsz, bo nasze pozycje przy kowalewskim zamku jeszcze nie gotowe, a też lada moment nadejdą z pomocą roty konfederatów litewskich imć pana Stacha Potockiego. Może jakie armaty wiodą, co daj Boże. No... Tedy ruszaj z Bogiem i pamiętaj jakieśmy wiosną pod Ryczywołem narznęli Rosjan. Nie inaczej spraw!

Na wspomnienie wygranej bitwy sprzed kilku miesięcy Piwnicki uśmiechnął się pod wąsem, a potem wskoczył na potężnego rumaka.

Chwilę później stanął przed wysuwającymi się z lasu husarzami i dał znak do szarży. Jak się okazało, ostatniej w dziejach szarży polskiej husarii.

Już nigdy potem ta formacja nie została użyta do klasycznego kawaleryjskiego boju, zaś w 1775 roku Sejm ostatecznie zlikwidował ten rodzaj wojska.

\*\*\*

Rok 1713 nie był dobry dla Polski. Cały kraj był wycieńczony wojną północną, w wielu jego rejonach panował zwyczajny głód. Dostrzegając to król August II zwany Mocnym, lecz ta sytuacja bynajmniej nie napędzała go troską. Mało tego, władca Saksonii i Rzeczypospolitej postanowił swoje niemieckie wojsko żywić na polskiej ziemi. Wprowadził w jej granice kilkunastotysięczny korpus, wydając przy okazji nowe ostrzejsze normy kontrybucyjne (20 garnków maki z każdego domu- 1 wół lub 10 baranów z 3 domów). Wyraźnie prowokował szlachtę do rokoszu, licząc, że po jego zdławieniu przy pomocy saskich i zaciężnych wojsk będzie mógł wprowadzić rządy absolutne.

Polacy jednak, zaciskając zęby, jakoś znosili kontrybucje, kwaterunki, hulanki niemieckich poddanych Augusta II, ale miara się przebrała gdy w końcu sierpnia 1715 roku, w Przemysku Sasi zakłuli bagnietami kasztelana Bełchackiego i starostę Turskiego.

26 listopada 1715 roku zawiązano w Tarnogrodzie konfederację, która podjęła regularne działania zbrojne przeciwko Sasom. Marszałkiem konfederacji obrano Stanisława Ledóchowskiego, zaś regimentarzem Chryzostoma Gniazdowskiego herbu Trzaska.

Wybór był doskonały, ponieważ Gniazdowski okazał się dzielnym, sprawnym wodzem. Najpierw pokonał Sasów pod Leszmem, zdziesiątkował pod Środą Wielkopolską, a potem dokonał przy pomocy niewielkich sił (4200 jazdy i 800 piechoty bez artylerii) rzeczy niebywalej, mianowicie w brawurowym nocnym szturmie 23 na 24 listopada zdobył ufortyfikowany, obsadzony świetną, doświadczoną wyborową załogą Poznań. Wiosną 1716

roku rozbił Rosjan pod Ryczywołem, a potem zajął Toruń (7 września 1716r), z którego Sasi uciekli na wieść o zbliżaniu się konfederatów.

Rozjuszony zwycięstwami rokoszan August II nakazał głównodowodzącemu armią w Polsce Północnej generałowi Adamowi von Bose zatrzymać jego marsz na Warszawę, przegrupować wojska wycofujące się z Torunia i drogą przez Brodnicę uderzyć na Toruń.

Szpiedzy konfederatów błyskawicznie donieśli Gniazdowskiemu o saskiej kontrofensywie, co spowodowało natychmiastową jego reakcję. Pozostawił w Toruniu 6 dział i 200 ludzi piechoty, a sam wieczorem 2 października ruszył naprzeciw Niemcom. Mając wieści o marszu przeciwnika postanowił zatrzymać go przed Kowalewem.

Punkt był bardzo dobry, bo Chryzostom Gniazdowski tak ustawił swoje niestety nieliczne oddziały, że żołnierze za plecami mieli wzgórze z popadającym w ruinę, ale wciąż masywnym zamkiem krzyżackim, natomiast z prawej i lewej strony jeziora (dziś nie istniejące), do których niemal prostopadle biegła droga z Brodnicy. W centrum umieścił piechotę, wraz z pięcioma działami, na lewym skrzydle jazdę koronną, natomiast prawe zostawił konfederatom litewskim (ok. 2000 jazdy) pod wodzą Stanisława Potockiego, którzy w ostatniej chwili dotarli pod Kowalewo, przez co mieli jakiś problem z zajęciem pozycji.

Regimentarz zrozumiał, że musi dać im czas, dlatego pchnął kilka chorągwi husarii do lasów w okolicach po południowej stronie drogi między Piątkowem, a Pluskowęsami z zadaniem opóźnienia marszu oddziałów von Bosego.

W samo południe, 5 października 1716 roku rozpoczęła się ostatnia w historii Rzeczypospolitej szarża husarii.

Oficer dowodzący regimentem saskim już z daleka widział kilkunastu jezdnych kręcących się na skraju lasu, sądził jednak, że to musi być jakiś niewielki podjazd, gdyż wywiadowcy donosili jakoby Gniazdowski wszystkich podkomendnych rozlokował pod murami Kowalewa. Nakazał zatem stałą obserwację lewej strony i nie przerwał marszu. Nie przerwał go nawet w początkowej fazie szarży, gdyż najwyraźniej nie znał taktyki husarii. Ta zaś początek ataku zawsze wykonywała w szyku luźnym (nawet 3 m odstępu między końmi), co saski dowódca musiał odebrać jako manewr niezdyscyplinowanej jazdy, chcącej pozorować natarcie. Na dodatek początkowo widział tylko jeden poszarpany szereg kilkudziesięciu jeźdźców (reszta dopiero wychodziła z lasu), upewniający przypuszczenie pozoracji (sam przecież prowadził regiment prawie tysiąca ludzi). Gdy wreszcie zorientował się, że to nie żadna pozoracja, tylko atak dużego oddziału konnicy uzbrojonej w długie (do 5m) kopie, natychmiast zatrzymał żołnierzy, wydał komendę zmiany szyku, w pozycję do oddania salw. Było już jednak trochę późno. Piechurzy widząc szarżującą masę dość dziwacznych (jak na XVIII wiek) zakutych w stalowe pancerze rycerzy, dzierżących w dłoniach -na zachodzie od 200 lat nie używane kopie- wpadli w popłoch. Pierwsza salwa nie wyrządziła prawie żadnej szkody, druga także w luźnym szyku husarii nie zrobiła widocznych wyrw. Gotowali się do trzeciej, ale już wiedzieli, że choćby nie wiadomo jak była celna, to nie zdoła zatrzymać rozpedzonej ławy.

Tymczasem husarze, zgodnie ze swoją taktyką, około 80 metrów przed szeregami nieprzyjaciela, w pełnym galopie nagle zwarli szyki, zmieniając się w żelaznego jeża.

Furkot proporców, upiorny świst wiatru na zbrojach i pochylonych już drzewcach kopii, chrapliwy oddech wielkich jak smoki rumaków, rwących do przodu z otwartymi zapienionymi pyskami, tętent kopyt od którego drżała ziemia, wszystko to waliło się na saskich piechurów, niejednego wprawiając w paraliżujący obłęd strachu.

Trzecią salwę oddała tylko część najtwardszych żołnierzy, lecz właśnie tych rozniosły ostrza husarskich kopii, bo ci, którzy tchórzliwie czmychnęli z szeregów, kładąc się na pobocza, to jeżeli nie zostali stratowani, przynajmniej na razie uniknęli śmierci.

Teraz podnosili się oszołomieni, gotowi do dalszej ucieczki, lecz Polacy po krwawym „wyczesaniu” saskich szeregów, porzucili złamane kopie, wyhamowali i zawrócili konie, po czym mknąc z powrotem na drogę śmierci dali ognia z pistoletów i dobyli szabel, ochotni dokończyć żołnierską robotę.

Pewnie wyróżniliby ich do nogi, gdyby na drodze nie pojawił się kolejny saski regiment. Pułkownik Gniazdowski obserwujący szarżę ze skraju lasu naprzeciw wsi Pluskowęsy, nakazał rotmistrzowi natychmiastowe wycofanie husarii i przegrupowanie jej pod Kowalewo.

Szarża i gwałtowna bitwa, trwająca może 20 minut zatrzymała marsz oddziałów von Bosego na około 2 godziny. Umożliwiło to Litwinom Potockiego przygotowanie swoich pozycji.

Zagłada niemal całego regimentu wywołała u saskiego wodza ostrożność. Gdy tylko wyszedł z lasów nie zaatakował Kowalewa z marszu, lecz najpierw rozstawił 30 dział i kazał ostrzeliwać z nich polskie pozycje. Regimentarz nie bardzo miał czym odpowiedzieć, ponieważ pięć konfederackich armat bardzo szybko zostało rozbitych, albo samo pękło od nieustannego strzelania, do tego Niemcy mieli ogromną przewagę w ludziach. Gdy ich ogień armatni niemal doszczętnie rozbił naprędce sklecone umocnienia chroniące spieszoną jazdę koronną, oraz piechotę broniącą centrum, rzucił do ataku swoich piechurów. Cudu nie było. Polska jazda zdziesiątkowana ogniem artyleryjskim cofnęła się między zabudowania Kowalewa, zaś dzielni piechurzy walcząc do końca polegli wszyscy, co do jednego...

Tymczasem Litwini na lewym (od atakujących) skrzydle radzili sobie całkiem nieźle. Podczas armatniego ostrzału wykorzystali stare umocnienia zamku, zaś na szturm odpowiedzieli kontrnatarciem i to tak skutecznie, że Sasi zaczęli wpadać w popłoch. Jednak Potocki widząc klęskę polskich oddziałów, a w następstwie zagrożenie ze skrzydła, oraz tyłu, też wycofał swoje oddziały między mury Kowalewa.

Jeszcze tego wieczoru konfederaci odskoczyli od nieprzyjaciela, po czym śpiesznym marszem przez Toruń wycofali się do Wielkopolski.

Tego

roku buntownicy zawarli rozejm z królem, który ten monarcha-  
łajdak złamał, dając zgodę na powieszenie w Sandomierzu  
jednego z działaczy rokoszu- szlachcica Łąciszewskiego.  
Na pertraktacje do Kazimierza król nie przybył.  
Skończyło się tym, że na początku 1717 roku w granice  
Rzeczypospolitej wtargnął silny korpus rosyjski i pod  
jego dyktando na dzień 1 lutego zwołano sejm, po  
latach zwany niemym, bo jego obrady trwały  
niecałe sześć godzin. Ograniczyły się do ogłoszenia  
traktatu o powszechnym pokoju, amnestii, zakazie  
zawiazywania konfederacji, ograniczającego  
liczebność gwardii królewskiej (!) i armii koronnej.  
Traktat ułożył car Rosji... Do rozbiorów Polski  
zostało 55 lat.



**Ciechocin**

**O BISKUPIE JANIE, RYCERZU MIKOŁAJU, MISTRZU  
HENRYKU I KRÓLU WŁADYSŁAWIE**

**W**Ciechocinie, na szczycie ostro opadającej skarpy doliny rzeki Drwęcy stoi stary, murowany dwór. Na facjacie, od strony frontowej jest umieszczony ozdobny kartusz, rokokowej proveniencji, z wyobrażeniem jednego z najwcześniejszych polskich herbów – Jelita. Tuż obok, krótka informacja ujawnia, iż dawno temu była tu siedziba biskupów kujawskich, którą w 1756 roku przebudowano z inicjatywy biskupa Antoniego Sebastiana Dembowskiego.

Skądinąd wiemy, że jeszcze wcześniej było tu warowne grodzisko książąt kujawskich, które kilkadziesiąt lat przed 1242 rokiem (data pierwszej wzmianki historycznej) przeszło na własność wspomnianych biskupów. Właśnie oni zmienili grodzisko w solidną, murowaną siedzibę, przez źródła niekiedy określaną (chyba nieco przesadnie) jako „zamek”.

Historia obdarzyła to miejsce pewnym umiarkowanie sławnym incydentem, dzięki któremu miłośnicy średniowiecznych dziejów Polski, choć mimochodem dowiedzą się o istnieniu Ciechocina, a gdyby zdecydowali się przyjechać tu kiedyś, to idę o zakład, że oryginalny urok tej miejscowości, położonej w jednym z najczystszych zakątków naszego kraju, spowoduje, iż nie tylko sentyment do historii przywiedzie ich tu ponownie...

W roku 1360 na dworze księcia strzeleckiego Bolka III wybuchła ogromna radość. Oto księżna Anna powiła dorodnego, pierworodnego syna, któremu na cześć św. Jana Chrzciciela nadano imię Jan.

Mniej więcej w tym samym czasie, w państwie Zakonu Krzyżackiego, w rycerskim majątku Ryńsk, przyszedł na świat dziedzic okolicznych włości, ochrzczony imieniem Nicolas, czyli Mikołaj.

Równo dziesięć lat później, w 1370 roku, w Turynii w rodzinie znanego rycerskiego rodu von Plauen urodził się Heinrich.

Tymczasem młody Jan stał się ulubieńcem swojego potężnego stryja, palatyna węgierskiego Władysława Opolczyka, który zachwycony jego gęstymi, kręconymi włosami nadał mu przydomek Kropidło. Określenie to tak przyłgnęło do księcia Jana, iż nawet kronikarze jemu współcześni, z lubością tak go określali.

Gdy mały Heinrich próbował stwierać pierwsze kroki, to Mikołaj z Ryńska (Nicolas von Renis), w raz z bratem Hanusem, czyli Janem uczył się jazdy konnej, a w swych wyprawach docierali często aż pod potężny krzyżacki zamek Grudziądz.

Dwadzieścia lat po tym młody rycerz Henryk von Plauen przybył do Prus, gdzie jako gość Zakonu postanowił wziąć udział w wyprawie „na pogany”.

Właśnie z takiej wrócił Mikołaj. Syty przygód, sławy, postanowił zająć się rodzinnym majątkiem, położonym nad jeziorem Ryńsk.

Tymczasem książę Jan Kropidło od ośmiu lat był już biskupem. W błyskawicznej karierze pomógł mu wujaszek Władysław, który w 1379 roku „załatwił” swojemu ulubieńcowi prepozyturę kapituły spiskiej (młodzian miał 19 lat!). Spore dochody wynikające z tej funkcji umożliwiły Janowi wyjazd na studia prawnicze i teologiczne do Pragi, potem Bolonii, a także ... hulaszczę życie. Oj, te Jan lubił nadzwyczajnie! Jeszcze długo po jego śmierci wspomniano go jako doskonałego gospodarza, lecz nade wszystko, jako wyśmienitego towarzysza rozmaitych uczt, popijaw, bib, itp.

Mimo to, dzięki wsparciu węgierskiego dworu Ludwika Andegaweńskiego (takie miał wujcio możliwości!) najpierw został biskupem poznańskim (1382 r), a dwa lata później (1384 r) przejął bardziej intratne biskupstwo kujawskie. Mało brakowało i Jan Kropidło w 1388 roku, po śmierci arcybiskupa Bozanty, zostałby metropolitą gnieźnieńskim! Załatwił nawet nominację papieża! Tu jednak wkroczył król Władysław Jagiełło, który nie chciał na najważniejszym kościelnym urzędzie niepewnego politycznie opolskiego Piasta (konflikt między królem a Władysławem Opolczykiem – wujem- nabierał właśnie rumieńców). Kropidło tak się wściekł królewskim oporem, że zaczął organizować... własną armię aby siłą

zdobyć stołek arcybiskupa. Król jednak nie żartował i bez ogródek ostrzegł, że w razie otwartego konfliktu zbrojnego nie będzie litościwy.

Tymczasem Mikołaj z Ryńska, gospodarząc na swoim majątku był coraz bardziej zaniepokojony przypadkami łamania prawa gospodarczego, nie respektowaniem starych, zwyczajowych przywilejów przez niektórych urzędników krzyżackich. Podobne sygnały dochodziły go od bliższych i dalszych sąsiadów. W końcu wraz bratem Hanusem (gospodarował w Pułkowie) uznali że, aby skutecznie reprezentować interesy posiadaczy majątków ziemskich trzeba zebrać możliwie dużo znaczących szlachciców chełmińskich i spróbować zbudować z nich jakąś formalną reprezentację.

24 lutego 1397 roku, podczas zjazdu 26 rycerzy (w każdym razie na dokumencie założycielskim widnieje tyle nacięć od pieczęci) postanowiono powołać do życia bractwo zwane Związkiem Jaszczurczym (od noszonych później na tunikach jego członków srebrnych wizerunkach jaszczurki- zwierzątka zwinnego, ale i dość przebiegłego). Wyznaczono sobie zadanie – *„...wzajemna pomoc osobą i majątkiem (...) bez żadnej niewierności, fałszu, zdrady oraz wszelkiej innej chytryści (...) przeciw każdemu, kto dokucza, gnębi albo krzywdę czyni, za wyjątkiem jednak osoby Wielkiego Mistrza”*.

Jan Kropidło, jako bystry człowiek zrozumiał w końcu, że porwał się z motyką na słońce. Jeszcze raz wszystko przemyślał, po czym dał spokój gnieźnieńskiemu tronowi, natomiast niejako „na pociechę” wystarał sobie u papieża prawo do czerpania dochodów z dóbr biskupstwa poznańskiego.

Król jednak czuwał. Natychmiast uniemożliwił ekscelencji Janowi objęcie i tej bogatej prebendy, a wtedy ten błyskawicznie „załatwił sobie” przeniesienie na bardzo bogate biskupstwo chełmińskie (1398 r), które miało jedną wadę- w całości leżało na terenie państwa Zakonu Krzyżackiego.

W 1399 roku Jan Kropidło opuścił świeżo objętą posadę, próbując w przebraniu kupca przejechać Polskę, aby dotrzeć do wuja Władysława (pewnie miał nowe zadanie dla jego protekcji). Jednak w Kaliszu wpadł w ręce „kontrwywiadu” Jagiełły, po czym został zatrzymany i zmuszony do... złożenia przysięgi lojalności polskiemu królowi!

W jej jakim takim dotrzymaniu pomógł mu fakt śmierci wujaszka Władysława (1401 r) Król odetchnął i postanowił dać szansę ambitnemu biskupowi, umożliwiając mu powrót na stanowisko biskupa kujawskiego.

Prawdopodobnie wtedy właśnie Jan Kropidło odkrył zalety ciechocińskiej siedziby, leżącej niemal na granicy dwóch państw, zaś w sercu terytorium jakie podlegało jego biskupiej opiece.

Rok później (1402 r) Henryk von Plauen, jako rycerz Zakonu Rycerzy Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego został komturem Nieszawy. Akurat w tym samym czasie Mikołaj z Ryńska, wraz z innymi krzyżackimi rycerzami ziemi chełmińskiej wyrzynał mieszkańców Żmudzi, palił wsie, brał w niewolę dziesiątki pogan... Jego sława nieustraszonego wojownika wciąż rosła, szczęście nie opuszczało, nic zatem dziwnego, że w 1404 roku ochotnie ruszył na kolejną krzyżacką wyprawę. Tym razem, walcząc u boku młodego komtura Nieszawy pomógł utopić we krwi duński kontratak na zajętą sześć lat wcześniej bałtycką wyspę Gotlandię.

Biskupowi Janowi Kropidle coraz trudniej przychodziło sprawowanie opieki nad diecezją. Krzyżacy nawet nie ukrywali niechęci do rzutkiego, dumnego, sprytnego księcia, toteż on coraz częściej przyjaźnie zerkał w stronę Krakowa. Wiele razy przyjeżdżał do swej warownej ciechocińskiej rezydencji, aby tu, nad brzegami Drwęcy spokojnie przemyśleć kolejne posunięcia w grze o znaczenie.



Rok 1407 przyniósł von Plauenowi ewidentny awans. Dostrzegł go nowy wielki mistrz Urlyk von Jungingen i w lipcu podniósł do godności komtura Świecia.

Tymczasem do Ryńska zaglądało coraz więcej rycerzy – właściciele majątków ziemskich. Wciąż jeszcze deklarowali wierność Zakonowi, jednak już niemal głośno wołali o nadużyciach władzy krzyżackich urzędników.

Malbork jak na razie lekceważył bractwo. Póki widział w nich lojalnych rycerzy, nie przeszkadzał w niczym (ba pomagał nawet, przenosząc w 1408 roku wikarię Jaszczurkowców z Radzyna do reprezentacyjnego kościoła św. Jakuba w Toruniu). Tak było nawet wtedy, gdy po 1408 roku wstąpili do niego kolejni członkowie: Otto z Konojad, Hanusz Kitnowski, Günter z Dylewa, Jan ze Szczuplinek, Jarko z Bolszewa i inni... Mało tego, w tym samym roku spotkał Ryńskiego zaszczyt reprezentowania Prus (w składzie krzyżackiej delegacji – żeby nie było wątpliwości) podczas rokowań jakie w Kownie odbyły się pomiędzy polskim monarchą, a wielkim mistrzem. Już wtedy dzierżył godność chorążego ziemi chełmińskiej. Jego znaczenie wciąż rosło... choć usłudni donosili gdzie trzeba, że pan Nicolas von Renis *jakoweś dysputy z biskupem kujawskim Janem toczy...*

16 sierpnia 1409 roku Mikołaj z Ryńska, jako chorąży krzyżackich wojsk ziemi chełmińskiej wziął udział w ataku na ziemię dobrzyńską. Błyskawicznym wypadem z Brodnicy zdobyli Rypin i Lipno, a potem uderzyli na miasto oraz zamek Dobrzyń nad Wisłą, które dostali szturmem, dokonując niebywałych nawet jak na średniowieczne zwyczaje rzezi, gwałtów, zniszczeń. Długosz tak o tym pisał: „...*starostę dobrzyńskiego schwytawszy ściągć kazał (wielki mistrz), na wielu także rycerzy polskich i ziemian wywarł swoją srogość...*” (z protestu biskupa płockiego wynika, że już po zdobyciu Dobrzynia zamordowano 200 rycerzy, lub szlachciców, oraz nieznaną liczbę kobiet)

Komturowi Świecia nie poszło już tak gładko, ba, miał wyraźnego pecha. Zaraz na początku wielkiej wojny, atakując Bydgoszcz dostał się do niewoli polskiego dowódcy zamku, skąd wyzwolił go brawurowy rajd komturów Tucholi i Człuchowa.

Gdy niecały rok później (1410 r) wojna wybuchła na nowo, biskup włocławski Jan Kropidło przezornie wyniósł się z nadgranicznego Ciechocina do swej kolejnej rezydencji w Subkowach pod Tczewem. Wiadomo, że stamtąd utrzymywał kontakt (przez gońców) z królem Jagiełłą, jednak dziś trudno orzec jakiego rodzaju (krzyżacy oskarżali go wręcz o szpiegostwo). W każdym razie, gdy chorąży chełmiński Mikołaj Ryński stawał pod Grunwaldem do walnej bitwy z królem, a pobożny, choć narwany komtur Świecia rozstawiał swoje oddziały do obrony części ziemi chełmińskiej przed spodziewanym atakiem, Jan Kropidło zapewne rozsiadł się w subkowskim refektarzu w oczekiwaniu na wynik starcia. Tym razem politycznie postawił na króla, ale... chyba niezbyt pewnie.

Grunwaldzka bitwa trwała już kilka godzin. Mikołaj z niepokojem patrzył na topniejące szeregi rycerzy ziemi chełmińskiej. Właśnie przed chwilą był świadkiem tragicznego końca szarzy szesnastu doborowych chorągwi wielkiego mistrza. W ciągu trzech krótkich pacierzy śmiercią walecznych zginęło kilkudziesięciu dostojników krzyżackich: wielki marszałek Fryderyk von Wallenrode, wielki szatny Albrecht hrabia von Schwarzburg, skarbnik Tomasz von Marheim, komtur Chełmna Eberhardt von Ippinburg, komtur Kowalewa Mikołaj von Viltz, komtur Brodnicy Baldwin Stahl... Ktoś twierdził, że Urlyk von Jungingen też... Wykrwawiony, pocięty oddział cudzoziemskich rycerzy spod znaku św. Jerzego dowodzony przez Krzysztofa von Gersdorff tylko honor trzymał na polu bitwy, zaś ta coraz szybciej zamieniała się w rzeź. Wśród chełmińskich oddziałów zapał do walki wyraźnie ostygł, nie było sensu umierać. Wtedy właśnie Mikołaj z Ryńska opuścił i zwinął chorągiew chełmińską, poddał wszystkich łasce polskiego króla.

17 lipca biskup włocławski Jan pojawił się w Malborku *"dla rozpatrzenia się w zamku i zalodze"*. Na własne oczy zobaczył ogarniający twierdzę paniczny chaos, po czym natychmiast wysłał gońca do króla z informacją o wielkim zamieszaniu. Miał też wezwać – co nie jest pewne – szlachtę i miasta pomorskie do poddania się władzy Jagiełły.

Gdy Kropidło zadowolony z siebie, że tym razem postawił na dobrego konia wyjeżdżał z ogarniętych wojną Prus do swej ciechocińskiej rezydencji, von Plauen w praktyce przejął władzę w państwie. Energicznie zorganizował skuteczną obronę Malborka, zaś potem kontruderzenie.

9 listopada obrano go wielkim mistrzem, a trzy miesiące później, 1 lutego 1411 roku zawarł w Toruniu traktat pokojowy z Jagiełłą. Po zapewnieniu sobie spokojnych granic postanowił rozprawić się z prawdziwymi i urojonymi zdrajcami państwa zakonnego (czym zresztą złamał jeden z punktów-14.- postanowień traktatu toruńskiego).

Mikołaj z Ryńska znając porywczą naturę von Plauena, już wcześniej musiał zdawać sobie sprawę, że jego deklaracje o amnestii nie zostaną dotrzymane. Postanowił zatem nie od razu wracać (z niewoli) do swojego majątku, tylko skorzystać z gościny biskupa kujawskiego Jana Kropidły i póki co schronił się w jego ciechocińskim dworze.

Pobyt w tak uroczym miejscu jak Ciechocin musiał wpłynąć na osłabienie czujności, bo gdy wiosną 1411 roku odnaleźli go tam wysłannicy wójta Lipienka Henryka Holta, przyjął od nich list żelazny, oraz zaproszenie na lipieniecki zamek *„dla omówienia warunków powrotu”*. Rzecz jasna całą akcję przeprowadzono za wiedzą wielkiego mistrza von Plauena.

Gdy tylko Mikołaj znalazł się w Lipienku, natychmiast trafił do lochu, skąd nazajutrz przewieziono go na zamek grudziądzki, gdzie przez cztery dni znęcał się nad nim kat. Po tym, pewnego majowego dnia 1411 roku wywleczono go na rynek Grudziądza i w obecności licznie zgromadzonej gawiedzi kat ściał mu głowę.

3 marca 1421 roku, w Opolu zmarł książę biskup Jan zwany Kropidłem. Jego barwny życiorys, zmiana postawy życiowej – z hulaki, politycznego awanturnika, w męża stanu (pod koniec życia) mogły by być kanwą niejednego sensacyjnego filmu. Pochowano go w polskim kościele dominikanów.

W maju 2007 roku archeolodzy badający katedrę w Kwidzynie natknęli się na kryptę ze szczątkami trzech osób. Różne znaki wskazują, że mogą to być truchła trzech wielkich mistrzów zakonu krzyżackiego, w tym Henryka von Plauen. Prawdopodobnie... Badania trwają. Wszystko co wiemy na pewno to, to, że von Plauen, już w 1413 roku odarty z godności wielkiego mistrza Zakonu zmarł w Lochstädt (dziś Pawłowo k. Królewca). osiem lat po biskupie Janie.

## Wielka Łąka

### O DUCHU W KOŚCIELE I WYTRWAŁOŚCI

**W**ielka Łąka jest wsią parafialną. Centrum tej miejscowości zajmuje zgrabna bryła kościoła pod wezwaniem śś. Katarzyny i Małgorzaty utrzymana w stylu neogotyku, jednak jego metryka jest znacznie starsza, niż mógłby to sugerować XIX wieczny sztafaż. Otóż tradycja przesuwą datę jej powstania na rok 1442, zaś fakt konsekracji (nie wykluczone, że ponownej) miał miejsce w 1494.

Obecny swój wygląd architektoniczny kościół zawdzięcza (oprócz - rzecz jasna - troskliwości kolejnych proboszczów i parafian) Ksaweremu Działowskiemu von Salendorf

herbu Prawdzic (1799-1866). On to jako właściciel okolicznych majątków, główny dobrodziej świątyni sfinansował jej przebudowę w latach 1861- 1863.

Ksiądz Łęga prowadzący tu przed wojną swoje badania etnograficzne usłyszał ciekawą powiastkę, którą w jednozdaniowym skrócie umieścił na kartach „Ziemi Chełmińskiej”. My poznajmy ją w pełnej krasie.

Otóż gdy murarze Ksawerego Działowskiego przystąpili do przebudowy kościoła, chcąc zmienić posadzkę zniszczyli kilka dawnych krypt i kamiennych tablic grobowych. Nie podobało się to miejscowym ludziom, którzy uważali, że w ten sposób naruszono spokój dawnych właścicieli tej ziemi (gdyż głównie to ich zwłoki tam spoczywały). Byli i tacy, co to mieli widzieć w okolicy kościoła rozmaite zjawy krążące wokół budowli, głośno biadające, że zakłócono ich wieczny sen.

Trwało tak wiele lat, a plotka urosła do rangi miejscowej legendy, przekazywanej kolejnym pokoleniom. Jednak zaraz po pierwszej wojnie światowej nastął tu ambitny proboszcz walczący z gminnym zabobonem. Chcąc raz na zawsze położyć kres niedorzecznym bajdurom ogłosił, że podczas procesji Bożego Ciała tak mocno skropił okolice świątyni święconą wodą, iż tu żadne łązęgi błędzących dusz nie mogą mieć miejsca.

Rzeczywiście! Pomogło! Ludzie jakby mniej gadali o zjawach spod kościoła, aż tu naraz gruchnęła wieść, że dwie dusze widziano w samym kościele i to podczas mszy!

Proboszcz „przeprowadził dochodzenie”, w wyniku którego wyszło na jaw, że dusze miała widzieć niejaka pani Przystawska. Tedy ksiądz dobrodziej zaszedł do niej osobiście i zapytał jej czy czego nie wie o bajdzie, którą cała wieś klepie sobie na ucho.

- A pewnie, że wiem- Miała odpowiedzieć Przystawska – Toć sama widziałam dwie dusze w kościele, a jedna to mi nawet surowo przykazała, żebym o tym nikomu nie klepała...

Kilka lat później, gdy proboszcz opowiadał o tym Władysławowi Łędze (który też był duchownym), tak skwitował całą historię - No widzi ksiądz co za sprytna dusza? Dobrze, że przykazała tej mojej parafiance milczeć, bo inaczej nikt o niczym by się nie dowiedział!

## Wrocki

### LEŚNY GRÓB

**G**dy któregoś wrześniego popołudnia fotografowałem przycementarny pomnik, poświęcony pamięci mieszkańców wsi Wrocki pomordowanych podczas drugiej wojny światowej, poczułem na sobie czyjś wzrok. Obejrzałem się dyskretnie. To był starszy, dość dziwacznie ubrany mężczyzna, o dobrej, choć mocno już zniszczonej czasem twarzy.

Po prostu stał sobie kilkanaście metrów ode mnie i oparty o potężny, przydrożny pień, przypatrywał mi się chyba życzliwie, choć uważnie.

Zrobiłem kilka fotek. On tam wciąż stał. Promienie zachodzącego słońca z trudem szturmujące gęste korony drzew, malowały na drodze ażurowe wzory, wydobywając z kocich

łbów starego bruku wyraźną fakturę. Nieco wyżej, niski mur cmentarza, od kamiennie-ceglanych ścian gotyckiego kościoła oddzielony zagajnikiem krzyży starej nekropolii... Ów człowiek doskonale komponował się w tym niezwykłym obrazie. Sięgnąłem po aparat i wycelowałem obiektyw w kierunku nieznanego.

Uśmiechnął się – Eeee tam, nic z tego nie będzie – machnął ręką.

- Będzie, będzie – zawołałem nieco rozbawiony. – Świetnie pan pasuje do tych cieni!

- A tak – zgodził się niespodziewanie. – Cień do cieni pasuje... Szuka pan kogoś we Wrockach? Ma pan tu kogo z rodziny na cmentarzu?

- Nie- odparłem. – Po prostu, szukam jakichś ciekawych miejsc, takich no..., z historią. Może pan zna takie we wsi, albo okolicy?

Stary znów się uśmiechnął. Lekki podmuch wieczornego, zimnego już wiatru poruszył jego długie siwe włosy, a mnie wpadł pod koszulkę wywołując dreszcz. Szliśmy wolnym krokiem w kierunku kościoła przytulonego przez ciemną gęstwinę koron wiekowych, cmentarnych drzew. „Właściwie już późno”- pomyślałem. – „Czas chyba wracać do domu. Samochód?... A, zostawiłem przy murze cmentarza...”

- Niech pan jedzie do Suwały i zapyta o Dienera.

- Suwała? Czy to ta wieś po drugiej stronie szosy? – stanąłem zaskoczony niespodziewaną propozycją. – A kto to jest Diener?

Teraz stary też się zatrzymał. Spojrzał na mnie przenikliwie. Było w tym jego spojrzeniu coś niepokojącego, ale dotarło to do mnie dopiero nieco później.

- Niech pan jedzie tam jeszcze dziś. To kawałek. Wjechać przy gorzelni na golubską drogę i przed lasem w lewo- wycelował suchy, sękaty palec, gdzieś w kierunku, gdzie pewnie znajdował się rozjazd toruńskiej szosy na Golub-Dobrzyń. – Niech tam pan zapyta o Dienera. Może nawet uda się go panu spotkać.

Podał mi dłoń na pożegnanie. Przez moment poczułem jej nieprzyjemne zimno, dziwną twardość, żeby nie określić – kościstość. Szybko ją wyciągnął z mojego uścisku, odwrócił się i dość zwawym krokiem ruszył drogą między zabudowania wsi.

Patrząc jak się oddala, powtarzałem sobie w myślach nazwisko człowieka o którego miałem pytać w Suwale – „Diener, Diener...”. Hmm... W ogóle, to lubię takie dziwaczne sprawy. One aż pachną przygodą.

Odnalazłem mojego Rovera. Silnik zaskoczył jak zwykle- bez problemu. Przez chwilę przemknęła mi myśl, że może przyjadę tu jutro. Przeżuciem w głowie plan na dzień następny i wyszło, iż w dającej się przewidzieć przyszłości raczej nic z tego nie będzie.

Przy gorzelni wjechałem na golubską drogę. Do skraju lasu, a potem skręt w lewo.

Tymczasem, resztki słonecznej tarczy zasłoniły ołowiane chmury od kilkadziesiąt minut czające się na obrzeżach nieba. Wolno ruszyłem do przodu, na gruntową drogę wyznaczoną z lewej przez ścianę majestatycznie kołyszącej się wysokiej kukurydzy, natomiast z prawej przez poszarpany brzeg ciemniejącego lasu. Spiker w radiu, grobowym głosem opowiadał właśnie o jakiejś potwornej zbrodni. Gdzieś ktoś kogoś potraktował siekierą...

Wtem wszystko ucichło.

Silnik samochodu też.

Włączyłem rozrusznik. Raz, drugi, trzeci – nic!

„Ładna historia” – pomyślałem. „Wieczór, boczna przyleśna droga, kot z kulawą nogą tędy nie będzie przejeżdżał. Zostawić samochód na pastwę losu? Telefon!

Patrzę na jego skalę – nie ma zasięgu. Dziwne, jadąc szosą widziałem w pobliżu maszt przekaźnikowy... Wysiadłem z samochodu, podniosłem jego maskę i bez przekonania szarpnąłem klemy zaciśnięte na biegunach akumulatora.

Było w tym raczej mało sensu, więc nawet nie próbowałem ponownie włączać rozrusznika. Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie poszukać zasięgu. Doświadczenie uczyło, że nieraz wystarczy kilka kroków, żeby komórka złapała choć słaby sygnał.

Nie pytajcie mnie dlaczego od razu wszedłem w las, bo sam nie potrafię tego przekonywująco wytłumaczyć. Mogłem przecież ruszyć drogą do przodu w kierunku Suwały, albo – co bardziej racjonalne- do tyłu w kierunku golubskiej szosy, oddalonej o 150, może 200 metrów.

Wstawiała wilgotna, wieczorna mgła, dokładając swoje trupio białe opary do szarości wieczoru. Niemal czułem jak jej lepki, gęsty oddech osiada mi na dzinsach, koszuli, wygładza włosy... Nagle ogarnął mnie niepokój.

Było w tym lesie, w jego atmosferze coś dziwnego, coś sprzecznego z naturą miejsca... Ale co?... Mimo woli lodowaty dreszcz przeszył plecy... Wiem! – Cisza. Wszędzie upiorna, martwa cisza... Żadnych ptaków, szumów, trzasków, odgłosów życia, nic! Ona nawet nie dzwoni w uszach, bo ona jest czymś więcej niż tylko zjawiskiem fizycznym... Znam ją, pamiętam doskonale... Zawsze się spotykamy, gdy wiedziony pasją poszukiwacza, muszę czasem zejść do grobowych krypt starych kościołów, klasztorów, zapomnianych kaplic... Wtedy przychodzi ona, ogarnia wszystko, nieraz dając nawet uludę zatrzymania czasu...

Lecz dlaczego tu?

Moje spojrzenie zatrzymało się na jakimś podłużnym kształcie, leżącym w wysokiej trawie. Podeszedłem tam powoli. Przykucnąłem, odgarnąłem trochę drobnych gałązek, zwiędłych liści, porostów i położyłem na tym dłonie. To był dawno przewrócony, trzyczęściowy kamienny obelisk, zakończony ozdobną kulą.

To możliwe, że gdzieś już coś podobnego widziałem... No jasne! Widziałem wtedy, gdy umierał sędziwy menonicki cmentarz w Kominach pod Brodnicą, widziałem zanim jakaś ludzka cmentarna hiena rozszarpała ostatni nagrobek starego luterańskiego cmentarza w Tomaszewie koło Osieka, nim krowie kopyta rozniosły ostatnie mogiły w Chojnie, nim świętokradca wyrwał ostatni metalowy krzyż z grobu Wolfa w Tomaszewie, Ostrowitzkiego w Tadajewie, Kretkach, Michałkach... Boże, to ten sam kamień!

Oczyściłem jego środek, tam gdzie powinna być tablica inskrypcyjna została tylko kamienna rana po młocie (?), dłucie (?), kilofie (?) Nic nie było.

Wyprostowałem się zrezygnowany i wtedy dostrzegłem ten drugi.

Leżał w wysokiej trawie, z czystym, szerokim, wypolerowanym licem... Serce mi biło mocno, szybko. Duży, narzutowy głaz spoczywał niejako na plecach, ukazując starannie skute i zeszlifowane na płask oblicze, zakłócone regularnymi wgłębieniami wyrytych liter. Kiedyś musiał stać na podstawie, której resztki ginęły pod porostami.

Włączyłem światło telefonu, po czym skierowałem je tuż nad niego. Sina poświata rozproszyła szarość, ukazując napis- „Fedor Diener/geb.[oren]25.3.1857/gest.[orben] 9.2.1934”. Krople rosy błyszczały w zagłębieniach

Siadłem na pień leżącego obok drzewa. W wielkiej ciszy słyszałem swój puls- „*Więc to pewnie o ciebie miałem pytać panie Diener. Kim byłeś za życia, dlaczego biedaku leżysz tu, na skraju wielkiego lasu?*”.

Lecz kamień milczał niewzruszenie. Opary szarej, wieczornej mgły majestatycznie kłębiły się w górę. Patrzyłem jak urzeczony na ów spokojny, zimny głaz, na jego wyżłobienia, po których niczym łzy, spływały krople rosy i gdzieś z zakamarków pamięci przyszły dawno nie wypowiedane słowa Psalmu 23: *...Chociażbym szedł ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza ...*

Siedziałem tak chwilę, aż nagle usłyszałem jakiś hałas. Wyraźnie narastał...

Poznałem, to odgłos silnika Diesla starego „Ursusa”, ktoś zbliżał się od strony Suwały. Wybiegłem z lasu na drogę.

Rolnik nie wyglądał na specjalnie zaskoczonego. Wskazał palcem na mojego srebrnego Rovera i zawołał niemal rozbawiony – Zgasło autko co?!

Przytaknąłem skinięciem głowy, po czym przekrzykując hałas ciągnika zapytałem

- Wyciągnie mnie pan? Chociaż do szosy!
- Pewnie, że jo! – odparował. - Ale może sam pan wyjedzie! Zakręć pan!
- To na nic, już próbowałem na początku! – machnąłem ręką.
- Zakręć pan! Może to nie samochód padł, ino Diener go zatrzymał na chwilę! On już tu robił takie numery!

- Eeee tam!- znów machnąłem ręką. Otworzyłem bagażnik, z którego wyciągnąłem linkę holowniczą. – A kim był ten Diener? Widziałem jego zniszczony grób w lesie.

- To był taki spolszczony Niemiec. Dziedzic! Panisko! Rozumisz pan. Przed wojną to wszystko było jego! Zanim umarł, miejsce se tu przygotował. Chciał, żeby go tutaj pochowali, to... pochowali. Wymyślił, że to będzie cmentarz dla całej jego rodziny, a tera leży sam, ino z psem. Chociaż... – rolnik podrapał się po czuprynie. – Chociaż niektórzy plotą, że to był mason i ani ksiądz, ani pastor nie chcieli go na cmentarzu, dlatego on tu pochowany.

- W lesie chciał mieć grób?! – zapytałem z niedowierzaniem, przerywając mocowanie liny.

- A gdzie tam! Toć zobacz pan te drzewa, one mają dopiero z pięćdziesiąt lat. Przed wojną las był trochę dalej! Potem przyszła komuna, wszystko po Dienerze rozparcelowali, wiele zniszczyli za PGR-u, a jego dopadł las

- I ludzie! – dodałem.

- Jo! – zgodził się rolnik. – Ludzie tyż, ale za to, że mu grób zniszczyli, to on tera straszy. Niech pan zapyta we Wrockach kogo chce, wszyscy wiedzą. Kiedyś to nie można było tędy w konia przejechać, bo albo stawały jak wryte, albo brał je szal jakiś. Różne rzeczy ludzie tu widzieli. Niech ino połowa z tego będzie prawdą, to i tak wystarczy. Sam trochę tu za chłopaka przeżyłem, jak ze świętej pamięci ojcem drewno wozili. Tera czasem samochody się tu psują – kiwnął głową w kierunku mojego Rovera, po czym dodał – Psują się na chwilę, niech no spróbuje zakręcić. Dali go!

Właściwie, co mi tam, nic nie miałem do stracenia. Przekręciłem kluczyk. Ledwo rozrusznik westchnął, a natychmiast zaskoczył silnik, „pykając” znajomą rytmiczną melodię maszyny.

Zbaraniałem, jeszcze kilkadziesiąt minut temu, to był kompletny trup!

Kilka kwadransów później byłem już w domu. Siedząc wtopiony w mój wielki fotel, otoczony ciepłem kominka, ciesząc oczy widokiem trzaskających iskrami, płonących szczap opowiadałem żonie wydarzenia tego wieczoru, gdy naraz przypomniałem sobie o aparacie fotograficznym. Zerwałem się z miejsca

- Czekaj, zaraz przyniosę aparat, podłączę do telewizora i pokażę tego gościa, który mnie tam wysłał. Mówię ci oryginalny gość... Sama zobaczysz... Taki trochę jakby nie z tej ziemi...

Błyskawicznie podłączyłem co trzeba, po czym zacząłem przerzucać klatki zdjęć. Gdy doszedłem do ostatniego, ujęcia pomnika przed cmentarzem, wiedziałem, że teraz będzie on, suchy staruszek, który wysłał mnie w objęcia przygody

- Uważaj, teraz – mruknąłem do żony. Przerzuciłem klatkę... Niemożliwe! Jest droga, są drzewa, w tle płot, cmentarz, kościelny mur, ażur cieni... Nie ma dziadka! Przerzuciłem dalej – „koniec zasobów pamięci aparatu”. Więcej zdjęć nie ma, więc to musi być to... Nie, nie ma go...

Żona uniosła w górę brwi i wyraźnie rozbawiona, spojrzała na mnie znacząco.

- Zaraz!... No co ty? – zachnąłem się. – Naprawdę tam byłem! Nie wiem dlaczego tu nie ma tego gościa. Stał o, tu, przy tym drzewie. Przecież doskonale pamiętam; taki pomarszczony, nieduży, suchy, dziwacznie ubrany... Przysięgam!

- Tak, tak- żona pogładziła mnie po twarzy uśmiechając się wyrozumiale.
- Oczywiście, że tak. Nawet wiem jak się ten twój znikający dziadek nazywał- Fedor Diener. Tak?

## GMINA GOLUB-DOBRZYŃ

### O TYM JAK W KURENCJI PRUSAKÓW UCZĘSTOWANO

**G**dy przebywałem służbowo w Legnicy, podczas przerwy w pewnej konferencji postanowiłem zwiedzić tamtejszą przepiękną starówkę. Wjechałem samochodem na parking w pobliżu imponującego swą bogatą neogotycką ornamentyką ewangelickiego kościoła, z zamiarem zwiedzenia świątyni. Nagle podszedł do mnie starszy człowiek, który zauważył rejestrację mojego samochodu i grzecznie zapytał czy nie jestem przypadkiem „z toruńskiego”. Moje potwierdzenie wyraźnie go ucieszyło, ponieważ jak oświadczył- *„mama pochodziła spod Golubia-Dobrzynia, a na Kurencji mieli jakąś działkę, zaś on od lat nie spotkał żadnego ziomka”*.

Choć wówczas nie miałem pojęcia gdzie leży owa Kurencja, to z przyjemnością zgodziłem się na rozmowę (nie tylko kobiety lubią gadać), a w zamian usłyszałem wiele dość chaotycznych wspomnień tego człowieka, przedstawiającego się nazwiskiem Lisowski (albo Lisiewski – tego niestety dokładnie nie zanotowałem). Między różnymi dykteryjkami o Żydach, młynarzach, rolnikach oraz ludziach kompletnie mi nieznanym, opowiedział także dość ciekawą anegdotę, którą gdy połączyłem z kilkoma danymi historycznymi brzmi bardzo wiarygodnie.

Kurencja była osadą (dziś wchłonęło ją miasto), leżącą na rozwidleniu szlaków z Dobrzynia do Nowogrodu i Działynia, oraz Pomorzana i Ciechocina przez Dolnik, należąca swego czasu do słynnego właściciela dóbr sokołowskich Antoniego Wybranieckiego (przed ostatnią wojną większość ziemi w Kurencji należała do Żydów). Stała tam też „karczma i młyn Kurenczyn”.

Jak łatwo zauważyć karczma szczyliła się łacińską nazwą, wywiedzioną prawdopodobnie od rzeczownika „currantiae” – czyli opiekować się. Podobno w drugiej połowie XIX wieku zbierało się w niej wielu Polaków, pochodzących z tzw. „szlachty szaraczkowej” (zubożałych szlachciców), gdzie podczas tegiej pijatyki najczęściej politykowano do upadłego.

Rzecz miała się dzieć już po powstaniu styczniowym, gdy w ogóle stosunki między różnymi nacjami zamieszkującymi nasze tereny były dość napięte.

Otóż któregoś dnia weszło do karczmy kilku pruskich podoficerów z Brodnicy, uczestniczących wcześniej w jakiejś oficjalnej delegacji. Byli już podpici, więc straciwszy zwykłe opory człowieka przebywającego na obcym terenie, zachowywali się dość butnie, a przy tym głośno. Rozsiedli się wokół stołów, bezczelnie wypchnawszy z ławy jakiegoś dobrzyńskiego gospodarza, zaś jeden z nich krzyknął do obsługującej dziewczki, żeby natychmiast podała kilka butelek wina i kielichy, ale takie, z których jeszcze „żadna polska świni nie piła”.

Siedząca niedaleko grupa dobrzyńiaków najpierw zamarła z gniewu, a gdy troszkę ochłonęli, zaczęli groźnie podnosić się ze swych siedzisk. Awantura wisiała w powietrzu, ale jeden z nich wyglądający na przywódcę, gestem dłoni usadził wszystkich z powrotem na miejscach. Szepnął coś do kompanów, po czym któryś wybiegł na zaplecze.

Tymczasem dziewczka uwinęła się z winem, stawiając je przed Prusakami. Wtedy ów dobrzyński przywódca podszedł do nich, walnął pięścią w stół, tym samym skupiając całą ich uwagę na sobie zawołał – Ani mi się ważcie nalewać do tych szklanek, za chwilę mój kolega przyniesie wam taką, z której jeszcze żadna polska świnia na pewno nie piła! A nie radzę marudzić bo moim kamratom łatwo sztywnieją palce! – Tu wskazał na dwóch kompanów w rogu karczmy, trzymających przed sobą myśliwskie strzelby.

Prusacy zbaranieli, lecz wkrótce mieli jeszcze większy powód do zaskoczenia, bo oto pojawił się ów dobrzyńiak, który wyszedł na zaplecze. Trzymał w ręku sporych rozmiarów, nie najczystszy ... nocnik.

Przywódcą nalał pełne naczynie, a potem zmusił każdego z żołdaków do wypicia sporej porcji wina. Na koniec, wśród kpin i niewybrednych żartów wyrzucono ich z karczmy. Pewnie długo pamiętali tę wyprawę do dobrzyńskiej karczmy Kurencja.

## Chelmonie

### O TYM JAK OBRAZ MATKI BOSKIEJ BRZEMIENNEJ DO CHEŁMONIA TRAFIŁ

**B** było to dawno, dawno temu. Pewnie na początku XVII wieku, a może nawet ciut wcześniej. Tak... To możliwe, że nawet troszkę wcześniej. Żył sobie wówczas w Chelmoniu pasterz Bartłomiej. Wiecie jak to z pasterzami, bo chyba każdy w swoim życiu miał szczęście poznać jakiegoś pasterza. No, przecie, że tak.

Tedy wiecie, iż pasterze wiele wiedzą, wiele czują, na wielu sprawach się znają. Nie może być inaczej, ponieważ całe życie, od wiosny do zimy, przebywają pod gołym niebem, gdzie ich Pan Bóg uczy.

Jak uczy? Ano na przykład doświadcza różną pogodą, lecz przedtem daje rozmaite znaki, zapowiedzi, na przykład; przed deszczem nisko latają jaskółki, gdy wrony siadają na wewnętrznych gałęziach, to przyjdzie mróz i tak dalej.

Pasterze mają sporo czasu, bo przecież ciągle nie będzie się patrzył na krowi ogon, skoro ta pasie się spokojnie, a zresztą od czego jest pies?! Czasem pasterze siadają sobie przy ognisku i jeden drugiemu opowiadają rozmaite rzeczy, radzą, dzielą się doświadczeniem; ta roślina jest na to, tamta na to, inna na ajfto. Czasem zwyczajnie plotkują, czasem klepią niestworzone



rzeczy o duchach, zjawach, upiorach, czasem śpiewają (niekoniecznie przyzwoite piosenki) czasem słuchają gry na piszczalce z kory, a czasem jaki zdolny potrafi nawet skrzypki wystrugać.

Właśnie Bartek to potrafił... Nooo, może tak do końca to nie były takie skrzypki, jakie większość z nas zna, bo i pewnie drewno podłe, struny z końskiego ogona, skala dźwięków też inna. Nieważne, skoro Bartek potrafił na nich grać.

Usłyszał raz ksiądz, gdy Bartłomiej grał wieczorem przy figurce Matki Boskiej, tej, no wiecie, która kiedyś stała przy rozstaju na Lipienicę. Usłyszał i mówi: „Ejże Bartłomieju, dał ci Pan Bóg talent, to słusznie robisz, gdy go Matce Boskiej prezentujesz”.

Tak się Bartek przejął tym księżowskim gadaniem, że od tamtej pory, gdy tylko mógł stawał przy figurze, po czym grał do późnej nocy. Czasem nawet, gdy gdzie blisko krowy pasł, to zostawiał na straży psa, a sam biegł pod figurę, aby Najświętszą Pannę jakąś piękną melodią pochwalić. No tak, tak właśnie robił.... Tamtego dnia też, choć stado miało większe do upilnowania...

Zostawił je z psem, a pewnie jakoś by to było, gdyby nie błyskawica. No tak, błyskawica, grom, piorun, czy jak tam jeszcze je nazywają.

Spadła z jasnego nieba! Huknęło, niby ze stu armat i krowy się rozbiegły. Poleciał Bartek bydlę zganiać, ale spędził tylko te co były na polach, a tu kilka z nich poszło w las, w knieje pod Lipienicę. Nie było rady, chłop wziął do garści wielki kij, po czym ruszył w las szukać krów. Idzie, woła, krzyczy, wypatruje... Gdzie tam! Gorzej, bo zmrok powoli zapada, a kiedyś, to nie dziś – wilków w lesie zatrzesienie.

Siadł se tedy Bartek na pieńku, głowę w dłoniach schował i westchnął – „Jak mi Matka Boża nie pomoże, tak po bydlakach, zaś mnie bieda aż strach”.

Nagle doszła go do uszu jakaś muzyka. Zerwał się na równe nogi, słucha... Poznał! Toć to jego muzyka z jego skrzypek! Szła gdzieś od strony Elgiszewa. Ruszył w tamtą stronę, ale uszedł może pięć kroków, patrzy, a tu, gdzieś przy leśnej drodze blask niesamowity bije w ciemnościach. Podszedł i co widzi? Oto na skraju duktu leży obraz, nic tylko wizerunek Matki Bożej, choć inny, niż do tej pory w paru kościołach widział. Skąd się wziął w środku lasu, tego nie wiadomo. Potem gadali, że może z woza jakiego biskupa wypadł, ale po co taka szacowna osoba by miała po naszym lesie jeździć?...

Tak, czy siak było, chwycił Bartek obraz, nabożnie ucałował i wiedząc, że nic to po nocy krów szukać, zabrał malowidło, po czym pobiegł do dziedzica Zygmunta Konarskiego.

Po co do dziedzica? A czy ja wiem?! Może dlatego, że jego krowy były. Wpada na dziedziniec i najpierw widzi, że całe stado jest w komplecie. Te z lasu jakoś same widać przyszły.

Opowiedział panu co, jak, gdzie kiedy, zaś ten chciał go nawet trochę zrugać, za to, że bydlę nie pilnował, ale jak zobaczył obraz, to sam aż przyklęknął, zbladł z wrażenia, a potem natychmiast wysłał służącego po dobrodzieja proboszcza.

Razem uradzili, że obraz trzeba godnie w ołtarz oprawić w chełmońskim kościele, co zresztą ładnie się złożyło, bo pan dziedzic Konarski miał właśnie do Pana Boga jakąś pilną ważną intencję...

Od tamtej pory jest u nas. Modlimy się przed nim, zaś Pani Nasza pociesza, wstawia się za nami, czasem nawet cud wyprosi, dzieciom błogosławi, przyszłe matki wzmocni...Zresztą... Najlepiej pójdzmy do kościoła, sami zobaczycie.

## Życie

Kilka kilometrów od Kowalewa Pomorskiego leży stara wieś Chełmnie. Po raz pierwszy została zanotowana w dokumentach historycznych pod datą 1222 rok (jako Colman), gdy książę Konrad Mazowiecki przekazał ją biskupowi misyjnemu Chrystianowi.

W XIV wieku, prawdopodobnie z krzyżackiej fundacji, pobudowano kościół pod wezwaniem św. Bartłomieja (pod tym samym wezwaniem erygowano parafię chełmońską).

Sam budynek świątyni jest czteroprzęsłowy, gdzie prezbiterium zaznaczono obniżeniem stropu i zwężeniem ścian. Na osi, nieco później, dobudowano zakrystię, a od południowej strony korpusu, kruchtę wejściową. Wschodnią ścianę ozdobiono schodkowym szczytem z pięcioma ostrołukowymi blendami (płytkami wnękami). Trójkątny wschodni szczyt zakrystii (II połowa XIV wieku) także jest ozdobiony blendami (czterema), pomiędzy którymi są ukośne lizeny (płaskie, pionowe pasy, lekko występujące z lica muru). Elewacja ściany zachodniej jest zwieńczona trójkątnym szczytem, zbudowanym dopiero na przełomie XVI i XVII wieku. Okna małe, ostrołukowe. Dach dwuspadowy, pokryty dachówką (tzw. karpiówką). Całą świątynię otacza neogotycki mur z 1870 roku.

Sam kościół malowniczo posadowiono na niewielkim wzgórzu.

Gdy wejdziemy do wnętrza tej w jakże typowej dla wiejskich parafii Pomorza Nadwiślańskiego starej gotyckiej świątyni od razu rzuci nam się w oczy niezwykle okazały manierystyczny ołtarz z początku XVII wieku, ufundowany przez niegdysiejszego właściciela Chełmonia, kolatora tej świątyni Zygmunta Konarskiego.

Zdaniem znawców, w całym wystroju znać manierę dominikanów z Torunia, łącznie z ich artystyczną wizytówką umieszczoną na samym szczycie ołtarza, czyli obrazem Matki Bożej Różańcowej ze św. Dominikiem i św. Katarzyną ze Sieny. Pozostałe obrazy „dość poprawnej roboty” przedstawiają Archaniola Gabriela i Matkę Bożą w ekstazie, oraz trzy- wyobrażające tajemnicę wcielenia Syna Bożego. Warto zwrócić uwagę na rzeźby. Od razu widać, że nie byle jaki snycerz je wykonał. Pełnoplastyczne postaci zachwycają skrupulatnym wykończeniem, dopieszczeniem detali.

Jednak najważniejszy skarb tego kościoła znajduje się w ołtarzu głównym, tuż za specjalną zasuwą, chroniącą go na co dzień.

Oto tu, od ponad 300 lat eksponowany jest niezwykle obraz, a mianowicie słynący łaskami, określany jako cudowny wizerunek Matki Bożej Brzemiennej. Nikt nie wie skąd tu przywędrował, kto go namalował, kiedy dokładnie przyszedł do Chełmonia. Można jedynie pokusić się o spekulacje, że być może jest równolatkiem swojej oprawy, czyli wielkiego, manierystycznego ołtarza z początku XVII wieku.

Wprawdzie jeden z proboszczów Chełmonia – ksiądz Franciszek Lange (duszpasterzował w latach 1874-1909) zapisał następujące słowa: „*Tak mi powiadają, ale już nikt tego sam nie pamięta, że tu podobno, gdzieś w lesie, pastuch znalazł ten obraz, jak szukał bydła po lesie*”... Hmm, legenda bardzo podobna do tej z Sanktuarium w Licheniu, lecz dużo wcześniejsza.

Na dodatek, gdyby włączyć się w lekturę starych akt wizytacyjnych, to znajdziemy tam wzmianki o srebrnych wotach w postaci figur i rytów... zwierząt domowych. Coś z tą legendą na rzeczy jest, lecz ile z tego prawdy, a ile legendy? Może postać pasterza Bartłomieja, tak do końca nie jest tylko ludowym wymysłem? Może...

Sam obraz jest naprawdę niezwykle. Malowany na płótnie, przedstawia Marię do połowy Osoby. Madonna ma na nim długie, rozpuszczone, ciemne włosy, zaś jej głowę wieńczy nałożona na obraz srebrna korona i otacza 12 złotych gwiazd („*a na jej głowie wieniec z gwiazd dwunastu*” Ap 12,1) z odchodzącymi promieniami. W lewej ręce trzyma księgę, natomiast prawą ma ułożoną tuż przy piersiach w geście, jakim od wieków malarze uwieczniają brzemiennie kobiety. Obraz ozdabia nałożona sukienka ze srebrnej blachy pochodząca z II połowy XVIII wieku (na pokrycie jej złoceniami przeznaczono podobno 6 dukatów).

Opisując popularnym językiem – twarz Marii jest bardzo ładna. Malarz ukazuje Ją jako piękną, młodą kobietę, o szlachetnych rysach i pogodnym, łagodnym wyrazie twarzy – doskonała renesansowa szkoła!

Przed obrazem płoną zawsze cztery świece. To stara tradycja, której korzenie trudno dziś odgadnąć (może pamiątka czterech ewangelii?), a gdy obraz jest odsłaniany, lub zasłaniany wszyscy w kościele powinni być na klęczkach z pochylonymi głowami.

Mówią, że na szczególne łaski mogą liczyć modlące się przed tym obrazem chore dzieci, przyszłe matki i ci, którzy mają kłopoty ze wzrokiem.

Lecz nawet jeżeli akurat nie masz żadnej pilnej sprawy do Pana Boga (co trudno sobie wyobrazić), to i tak trzeba tu bezwzględnie przyjechać i samemu spojrzeć na to dość niezwykle dzieło nieznanego autora. Ci, którzy potrafią się modlić, niech to koniecznie zrobią w tym miejscu, zaś ci którzy tego nie potrafią i nie chcą próbować, niech na wizerunek Matki Bożej Brzemiennej popatrzą z najwyższym szacunkiem, jak na dzieło artystyczne, a wkrótce - może i bezwiednie - podziękują Bogu, że pozwolił ludziom głosić Jego chwałę przez TAKĄ sztukę...

## DZIAŁYŃ

### SKĄD WYSZEDŁ POTĘŻNY I MEŻNY RÓD...

**O**koło 12 kilometrów na południe od Golubia Dobrzyńia, w gminie Zbójno leży wieś Działyń, gniazdo rodowe ongiś potężnego swymi wpływami rodu Działyńskich. Do dziś pozostał po nich barokowy kościół, fundacji rodziny, nad którego głównym wejściem, w roku 1641, z rozkazu biskupa chełmińskiego Kaspra Działyńskiego wmurowano kamienny kartusz z herbem Ogończyk.

Do roku 1413 posługiwał się nim Mikołaj z Kutna, rycerz, właściciel okolicznych dóbr. Gdy zmarł, jego synowie postanowili zgodnie podzielić się majątkiem po ojcu, a było czym! Tedy Jakusz otrzymał majątek w okolicach wsi Radziki (dziś gmina Wąpielsk), natomiast Piotr pozostał w Działyniu, przyjmując nazwisko Działyński i biorąc herb po ojcu. Gdy zmarł w 1494 roku pozostawił po sobie dwóch synów: Mikołaja i Piotra, z których ten pierwszy w 1476 roku został kasztelanem brzeskim, w 1479 także dobrzyńskim, a pięć lat później król zatwierdził go jako wojewodę inowrocławskiego. Był też brodnickim starostą. Ożeniony z



Febronią Danoborską miał z nią cztery córki i jednego syna, któremu też dał na imię Mikołaj, zaś historia czasem dołożyła mu przydomek „Starszy”.

Zatem ów „Starszy” poszedł w ślady ojca i gdy dorósł, w latach 1485-1542 pełnił obowiązki starosty brodnickiego, a równocześnie podkomorzego dobrzyńskiego (od 1510r), kasztelana chełmińskiego (od 1528r). 16 stycznia 1544 r został wojewodą pomorskim, który to urząd złożył tuż przed śmiercią (5 lutego, zaś zmarł w marcu 1545 roku). Ciekawostką jest, że tenże Mikołaj miał aż dwanaścioro dzieci i to 6 córek, także 6 chłopaków!

Na rodowym majątku został Paweł Działyński. W tym czasie jego krewniacy z tej i tworzących osobne linie rozeszli się po Polsce. Warto dodać, że Działyńscy, oprócz wsi, z której wzięli swoje miano, posiadali jeszcze w ziemi dobrzyńskiej szereg innych wsi (w całości bądź znacznej części): Dobrzyń n. Drwęcą, Dulsk, Sokołowo, Białkowo, Stalmierz, Wilczewo, kilka osad młynarskich... Na całych Kujawach i ziemi dobrzyńskiej niewiele było rodów równie posażnych, a gdy wspomnimy, że majątki Działyńskich na Kujawach i w Wielkopolsce też nie należały do małych (m.in. Konarzewo, Kórnik, Bzin, Września, Runowo, Pakość), to biorąc pod uwagę ówczesne kryteria, pozycja społeczna zajmowana przez przedstawicieli tego rodu wydaje się zupełnie zrozumiała. Tymczasem oni czasem wracali do rodzinnej wsi, nawet, gdy musieli tu przyjąć „z daleka i wysoka”, jak np. Kasper Działyński. Syn Michała i wojewodzianki pomorskiej Elżbiety Czemianki. Jego życiorys mógłby posłużyć jako kanwa niejednej powieści, czy filmu.

Po skończeniu kolegium jezuickiego zaciągnął się do wojska, gdzie pod hetmanem Stanisławem Koniecpolskim walczył ze Szwedami jako rotmistrz jazdy. Potem z województwa inowrocławskiego został posłem na sejm roku 1629. Jednak ani wojsko, ani polityka nie okazały się jego powołaniem, tylko stan duchowny. Udał się na studia do Rzymu, gdzie też otrzymał święcenia kapłańskie. Gdy wrócił do Polski, objął dziekanie włocławską, a parę lat po tym papież nominował go na biskupa chełmińskiego (1639r).

Dwa lata później, podczas zarządzanej sobie krótkiej przerwy w wizytacji generalnej biskupstwa, zajechał do Działynia i rozkazał przebudować tamtejszy kościół, czterdzieści lat wcześniej wystawiony przez rodzinną fundację. Wówczas to polecił wmurować nad głównym wejściem kamienny kartusz z herbem, który ongiś musiał zdobić główną ścianę dawnego – już wówczas rozebranego – dworu. Relief jest tam do dziś, przypominając kto był tu kiedyś panem i dobrodziejem.

O samym biskupie warto dopowiedzieć jeszcze to, że właśnie za jego panowania ustanowiono urząd sufragana (biskupa pomocniczego, 1641r), w Toruniu wznowiono organizowanie procesji Bożego Ciała (1643r), o mało nie spowodował przeniesienia stolicy diecezji do Chełmna, zaś, co najważniejsze, to właśnie jego śmiała postawa, światły umysł doprowadziły do zorganizowania w Toruniu słynnego Colloquium charitativum (*łac. braterska rozmowa- wtedy, 28 sierpnia 1645r wspólny zjazd katolików i protestantów, którego celem była jedność wiary i pokój religijny*). Zmarł 19 marca 1646 roku w Lubawie, zaś pochowano go w chełmińskiej katedrze.

Ostatnim, który trzymał Działyn był Ignacy (1754 – 1797). On to po z górą 400 latach, w roku 1789 sprzedał rodowe gniazdo Michałowi Aukowskiemu. Jednak zanim powiemy jak do tego doszło koniecznie wypada choć w kilku słowach skreślić sylwetkę tego niezwykle ciekawego człowieka.

Otóż Ignacy przyszedł na świat 15 września 1754 roku w Konarzewie, gdzie Działyńscy mieli swój dwór. Bardzo wcześnie stracił ojca (wojewoda kaliski Augustyn), a wtedy jego matka Anna z Radomieckich wyszła ponownie wstąpiła w związek małżeński, wychodząc za Władysława Gurowskiego – marszałka wielkiego litewskiego, który otrzymał tę godność w zamian za wysługiwanie się stronnikom carycy Katarzyny II. Co tu dużo ukrywać, ojczym Ignacego był niestety zdrajcą sprawy narodowej, prawdziwa kanalia w każdym calu, na

dobitkę odznaczony za swe nieczne postęпки najwyższymi rosyjskimi orderami (m.in. Orderem św. Aleksandra Newskiego). Na szczęście Ignacy niewiele przebywał z ojczymem. Jako młody chłopak wyjechał do szkół. Najpierw pobierał nauki u poznańskich jezuitów, a potem w warszawskim Collegium Nobilium. W 1780 roku wstąpił do wojska, gdzie wkrótce doszedł do stopnia rotmistrza kawalerii narodowej. Tymczasem wyswatano go (1784) z piękną kasztelaną bełską Szczęsną Woronicz, za którą – zakochany jak sztubak – wyprowadził się aż na Wołyń. Był już wtedy dojrzałym mężczyzną i doskonale zdawał sobie sprawę, że nie może podążać śladami ojczyma. Wiecej! Zdaje się, iż po ustabilizowaniu swojej sytuacji osobistej, przekonany o krzywdzie jaką Gurowski wyrządził ojczyźnie postanowił stanąć po stronie patriotów. Wstąpił do tajnej loży masońskiej Wielki Wschód Polski, jednocześnie zaczął udzielać się społecznie, a także łożyć znaczne kwoty na cele publiczne.

W 1788 roku odkupił od generała Aleksandra Mycielskiego dowodzenie 10 regimentem pieszym wojsk koronnych, zwanym później „Działyńczykami”, lub „pułkiem Działyńskich”.

Rok po tym, ta trochę zbyt intensywna aktywność w wydawaniu pieniędzy zmusiła go do ratowania swoich finansów drogą sprzedaży części swoich dóbr. Pozbył się wówczas Dobrzynia nad Drwęcą, Białkowa, no i Działyńia. Najwidoczniej z rodową wsią nie czuł już żadnego związku emocjonalnego.

Wziął udział w wojnie polsko-rosyjskiej (1792), a dwa lata później dzielnie stawał w insurekcji warszawskiej (zwycięskie powstanie wojska polskiego i ludu Warszawy przeciwko okupacyjnemu garnizonowi rosyjskiemu w czasie insurekcji kościuszkowskiej). Po upadku powstania Kościuszki, został zesłany na Sybir, gdzie spędził 18 miesięcy w niewielkiej miejscowości Berezowo. Ułaskawiony przez następcę carycy Katarzyny II - Pawła I, wrócił na Wołyń, po czym natychmiast przystąpił do narodowej konspiracji. Prawdopodobnie wtedy też bardziej aktywnie zajął się działalnością w nielegalnej wówczas (ukaz carski rozwiązał ją w 1821 roku) loży masońskiej Wielki Wschód Polski. Szybko przechodził przez kolejne stopnie wtajemniczenia, by wkrótce zostać zastępcą wielkiego mistrza... Wówczas, dość niespodziewanie zmarł w Żytomierzu. Był początek listopada 1797 roku.

W rodzinie Aukowskich Działyń pozostał do 1830 roku, kiedy to kupił go Florian Witalis Jeżewski herbu Lis. Niestety nowy właściciel nie gospodarował tu przesadnie długo, bo pięć lat później zmarł, pozostawiając na tym padole żonę Salomeę i syna Cyryla.

Za następne siedem lat także Cyryl odszedł w zaświaty, zaś jego spadkobiercy skorzystali z propozycji i sprzedali majątek Juliuszowi Dziewanowskiemu herbu Jastrzębiec. Ten od dłuższego czasu szukał jakiegoś majątku, gdzie mógłby wraz z drugą żoną Honoratą z Bożewskich (pierwsza -Wiktoria z Rafalowiczów zmarła) spędzić spokojną dostatnią jesień życia, po tym gdy w 1838 roku przekazał rodową Szafarnię synowi Dominikowi.

Udało mu się spełnić to pragnienie. Ten dzielny działacz narodowy, mimo represji wspierający partyzantów polistopadowych, właśnie w Działyńiu spędził ostatnie podgodne lata życia. W testamencie wyraził wolę pochowania go na miejscowym skromnym cmentarzu. W 1854r dokładnie wypełniono jego wolę.

Latem 1881 roku Działyń, na skutek działów rodzinnych przeszedł w ręce Ciechomskich, we władaniu których pozostał aż do ostatniej wielkiej wojny (Jan Ciechomski).

A co z Działyńskimi?

Ano 30 marca 1880 roku, w rozświetlonej blaskiem świec alkowie kórnickiego pałacu, na rękach żony Izabeli z Czartoryskich zmarł wielki filantrop, kolekcjoner, bibliofil, bogacz, ostatni w prostej linii potomek Mikołaja z Kutna – Jan Kanty Działyński. Na nim skończył się ród Ogończyków Działyńskich.

Gdy już się dokonało, jego zwłoki przeniesiono do bardziej eksponowanej komnaty. Na jej ścianach wisiały portrety: wielkiego łowczego koronnego, pradziada Zygmunta

Działyńskiego, który w 1676 roku kupił majątek Kórnik, jego dziada Ksawerego- oficera Kościuszki, kawalera Orderu Orła Białego posła, senatora, więźnia Spandu, oraz szabla ojca Tytusa- porucznika 2 pułku strzelców konnych, sztabowca jednego z wodzów powstania listopadowego generała Skrzyneckiego...

Tacy byli Działyńscy, rodem z małej wsi w gminie Zbójno.

## **Sokołowo, Obory, Białkowo, Nowogród**

### **TU, SKĄD DUCH MAZURKÓW CHOPINA...**

**B**ioGRAFOWIE znakomitego polskiego kompozytora Fryderyka Franciszka Chopina (1810- 1849) niemal zawsze wspominają o jego pobycie w Szafarni koło Płonno, gdzie do dziś stoi dworek Dziewanowskich, słynny z odbywających się tam koncertów fortepianowych. Przyznają tym samym, że był to znaczący okres w rozwoju twórczej weny muzyka. Mało jednak mówi się, iż Szafarnia wcale nie była jedyną miejscowością tego kawałka ziemi dobrzyńskiej, którą Chopin odwiedził.

A wszystko zaczęło się w 1822 roku, gdy 18 –letni Fryderyk poznał przebywającego w pensjonacie Chopinów Dominika Dziewanowskiego- kontynuatora słynnej linii rodu od XVII wieku osiadłego w Szafarni, około 8 km od Golubia Dobrzynia. Dość powiedzieć, iż ojciec Dominika, Juliusz, był rodzonym bratem bohatera spod Somosierry (1808r) pułkownika Jana Nepomucena Dziewanowskiego.

W wakacje 1824 roku Dziewanowscy zaprosili Fryderyka Chopina do Szafarni, gdzie przyjęto go z wielką gościnnością, zaś szczególną opieką otoczyły go dwie śliczne siostry Dominika- Józefa i Ludwika, podobno poproszone o to osobiście przez panią Chopinową, drżącą o słabe zdrowie syna.

Trzeba wiedzieć, że rodzina Dziewanowskich należała do elity szlachty dobrzyńskiej, prowadziła dom otwarty, utrzymując szerokie kontakty z innymi okolicznymi dworami. Wiadomość o przyjeździe młodego panicza z Warszawy, „biegłego w sztuce kompozycji fortepianowych” natychmiast rozeszła się po okolicy, czego następstwem były liczne zaproszenia. Wiemy, także ze wspomnień samego Chopina, że był częstym gościem dworku

w Sokołowie, gdzie jego właścicielom Wybranieckim, oraz licznie zgromadzonym sąsiadom grywał swoje utwory.

W liście do rodziców pod datą 10 sierpnia 1824 rok Fryderyk pisał: „(...) W sobotę było wiele gości w Szafarni, pan Podoski, pan Sumiński, państwo Piwniccy, pan szambelan Piwnicki, pani Borzewska, brat pani Dziewanowskiej, pan Wybraniecki z Białobłockim (...)”.

No właśnie, w Sokołowie miał też innego przyjaciela, a mianowicie Jana Białobłockiego herbu Ogończyk. Młodzienci poznali się, gdy Jan pobierał nauki w Liceum Warszawskim, mieszkając w pensjonacie Chopinów. To musiała być silna przyjaźń, skoro Fryderyk nie tylko wiele razy odwiedzał przyjaciela w trakcie pobytu w pobliskiej Szafarni (1824-1825), ale również dlatego, że dość regularnie pisali do siebie listy.

Niestety Jan Białobłocki, w wieku 23 lat zmarł (1823) dość niespodziewanie. Wówczas jego matka, porządkując rozmaite rzeczy, które po sobie zostawił, znalazła także listy od Chopina. Postanowiła je zachować zamykając w sekretnym sekretarzyku. Wkrótce po tym ojczym Jana - Antoni Wybraniecki zaangażował się w sprawy narodowe i wziął udział w powstaniu listopadowym, co po jego upadku spowodowało liczne represje, w tym rewizje sokołowskiego dworu. Któryś z carskich śledczych znalazł korespondencję chłopaków, a najwidoczniej nie mogąc rozczytać czego dotyczy, lub z braku na to czasu skonfiskował ją w całości.

Kilkadziesiąt lat później, w roku 1921, na mocy traktatu ryskiego, bolszewicka Rosja zwróciła Polsce część zagrabionych akt i innych dóbr ruchomych. Cztery lata później jeden z archiwistów szukając jakichś dokumentów przekładał stos odzyskanych „papierzysk”, gdy zupełnie niespodziewanie wpadły mu w ręce owe listy młodego kompozytora. W roku 1926 wydał je Stanisław Pereświat- Sołtan, a dziś są „białym krukiem” pilnie poszukiwanym przez miłośników Chopina.

W rodzinnym albumie Fryderyka zachowała się też dość obszerna notatka poświęcona jego koncertowi na organach oborskiego kościoła klasztornego Ojców Karmelitów (na pamiątkę tego wydarzenia jest w kościele klasztorneym stosowna tablica). Pewnie nie było to wielkie wydarzenie muzyczne, ponieważ kompozytor nie był organistą ale może świadczyć o pewnej zażyłości z różnymi środowiskami tutejszego społeczeństwa. Zresztą, że tak właśnie było, wynika i z jego listów do rodziny, które często przekształcał w swoistą parodię popularnego wówczas „Kuriera Warszawskiego”, nazywając je wtedy „Kurierem Szafarskim” (właściwie „Kuryerem Szafarskim”), gdzie „wiadomości krajowe” odnosiły się do zdarzeń zaszłych w posiadłości Dziewanowskich, zaś „wiadomości zagraniczne” dotyczyły opisów jego wojaży po pozostałych rejonach ziemi dobrzyńskiej, lub rozmaitych śmiesznych anegdot, których sam był świadkiem, lub o których słyszał.

I tak pod datą 16 sierpnia 1824 roku „Kuryer Szafarski” w „Wiadomościach Zagranicznych” donosi: *„Pewien obywatel w okolicy chciał czytać Monitora. Wysłał więc służącego do Xięży Karmelitów w Oborach, prosząc o pismo periodyczne. Służący w życiu o piśmie periodycznym nie słysząc, przekręcił wyraz i spytał się Xięży o pismo hemoroidyczne.”*

Innym razem, pod datą 27 sierpnia 1824 „Kuryer Szafarski” przyniósł rodzicom Fryderyka taką relację: *„Dnia 26 M. I R.b. w Sokołowie indyk wlaź ukradkiem do ogrodu. Kania chowana od młodości w ogrodzie, w życiu nie widząc indyka, krzywo na niego patrzyła, a zbliżywszy się oczy mu wydrapać chciała. Indyk się napuszył, a widząc, że miną nic nie wskóra wziął się do dzioba. Wszczęła się walka: zwycięstwo żadnej stronie nie sprzyja, aż na koniec po długiej potyczce indyk zwycięzca, wydziobawszy kani oko prawie smutnie pojedynek zakończył.”*

„Kuryer” z 2 września 1824 r donosi o awanturze, do jakiej doszło między psem a kotem w miejscowości Białkowo (gmina Golub-Dobrzyń)

Lektura owych „kuryerowych” listów ujawnia niebywale poczucie humoru ich autora. Sam siebie nazywa w nich Jaśnie Wielmożnym Panem Pichoniem, Jakubem, lub też Franciszkiem Chopinem (rolę „cenzora” pełniła urocza panna Ludwika Dziwanowska, która raz tak się tym przejęła, że próbowała wykreślić jakieś zdanie z listu kompozytora, na co ten napisał: „Bardzo proszę cenzora, nie krępować mi ozora”).

Poczucie humoru to jedno, lecz co nas tu pewnie bardziej interesuje- pisma ujawniają żywe zainteresowanie młodzieńca kulturą ludową; zwyczajami, pieśniami. Może to były jakieś wspomnienia, jakieś reminiscencje z wczesnego dzieciństwa, gdy matka (Justyna z Krzyżanowskich) śpiewała mu do kołyski piosenki ze swoich rodzinnych stron (pochodziła z niedalekiej kujawskiej miejscowości Długie)? Może. Faktem jest, że nie opuszczał żadnej okazji do uczestnictwa w ludowych obrzędach, co również go bawiło. W swoim „kurierowym” liście z dnia 26 sierpnia 1825 roku pisał m.in.: „(...) tego samego dnia okrzęzne dwóch wsi się odbyło (...) JPanna Agnieszka Guzowska i JPanna Agnieszka Turowska-Bąkiewna pompatycznie, z wieńcami na głowach, przewodniczyły żniwiarkom, prowadzone od dwóch mężatek, z pęczkami w rękach. Stanąwszy w takiej kolumnie przed samym dworem, odśpiewali wszystkie strofy, z których to każdemu łatkę przypinają, a między innymi dwie następujące strofy mnie:

>Przede dworem (...) zielony kierz,  
Nasz warszawiak chudy kieby pies.  
Na stodole stają jętki,  
Nasz warszawiak bardzo prędko.<

Innym razem, gdy Dominik Dziwanowski zabrał go kiedyś w okolice Dobrzynia, a tam właśnie odbywało się jakieś żydowskie święto, czy może wesele (jeszcze w 1938 roku w Dobrzyniu mieszkało więcej niż 3 tys. Żydów, co stanowiło ponad połowę wszystkich mieszkańców), no, w każdym razie klezmerzy grali swą muzykę na całego, Chopin stanął jak wryty i za nic na świecie nie chciał się ruszyć z miejsca żydowskiej zabawy. To tam właśnie narodziła się w jego głowie kompozycja Mazurka a-moll, którego świątek miłośników muzyki i wtajemniczeni od razu nazwali „Żydkiem”.

Można podsumować, że na interesującym nas terenie Fryderyk Chopin przebywał w następujących miejscowościach (a w każdym razie wymienił je w „Kuryerze Szafarskim”): Białkowo (wraz z Pulkiem, Kurenczynem, Dabrową, Słomianami i rumunką Sadykierz należało wtedy do dóbr sokołowskich, stanowiących własność Antoniego Wybranieckiego, ojczyzna Jasia Białobłockiego, kolegi Chopina), Dulnik (osiedle Nowogrodu), Obory (wieś częściowo klasztorna z kościołem i klasztorem karmelitów -*Mariae de Monte Carmelo*), Sokołowo (własność Antoniego Wybranieckiego, zresztą wtedy też właściciela Dobrzynia nad Drwęcą). Do tego trzeba dodać miasta Golub, Dobrzyń i Kowalewo (o czym niżej)

Wszyscy biografowie pianisty zgodnie podkreślają, że jego pobyt na wsi dobrzyńskiej, zetknięcie z tutejszym folklorem miały znaczny wpływ na jego twórczość. Adolf Nowaczyński („Młodość Chopina”) stwierdził nawet, że „właśnie tam, na ziemi dobrzyńskiej młody Chopin „najbardziej przepoił się polskością, nabuchał polszczyzny”.

Jeden z listów, jakie z Warszawy wysłał (27 lipca 1825r) do Jasia Białobłockiego zakończył wykrzyknikiem „Ach Sokołowo mi zapachniało!”.

Wiemy (niestety bez szczegółów), że Chopin przebywał też w Kowalewie. Znany jest jego list do rodziców, wysłany stamtąd 19 sierpnia 1824 roku. Wspomina w tym piśmie o jakiejś podróży na Pomorze, lecz bez bliższych danych.

Wyliczanie miejscowości i śladów pobytu młodego Fryderyka Chopina na tej ziemi jest zabiegiem niejako nobilitującym okolice Golubia-Dobrzynia. Przy czym nie jest to nobilitacja



w spotykanym często stylu – „patrzcie, pod tą lipą leżał onegdaj Napoleon” (z czego na dłuższą metę dla obu stron nic nie wynikało), lecz nobilitacja – czytając biografów -absolutnie autentyczna, bo obie strony na tych kontaktach zyskały i czegoś nauczyły się od siebie nawzajem (skoro w utworach największego kompozytora pobrzmiewa nuta z tych stron, to co to jest jak nie zdrowe wywyższenie i duma?).

Teraz, gdy będziemy słuchać nieprawdopodobnie muzycznie pięknych mazurów i polonezów, to pomyślmy o tym, iż stanowią one nie tylko przykład dzieł o wybitnie polskim charakterze, gdzie twórca nawiązał w nich do polskiej pieśni ludowej i wykorzystał wszystkie jej właściwości różnorodność rytmów z charakterystycznymi akcentami, piękno melodii, odrębność tonalną, itd., ale pomyślmy też o tym, że znaczna część to echo folkloru ziemi dobrzyńskiej. Bo choć Chopin nie wykorzystał tutejszych melodii ludowych w sposób dosłowny, to przecież w wielu swoich utworach wykorzystał ich ducha i ten „duch” w jego muzyce tak cudownie głaszcze nasze serca do dziś.

## Kowalewo

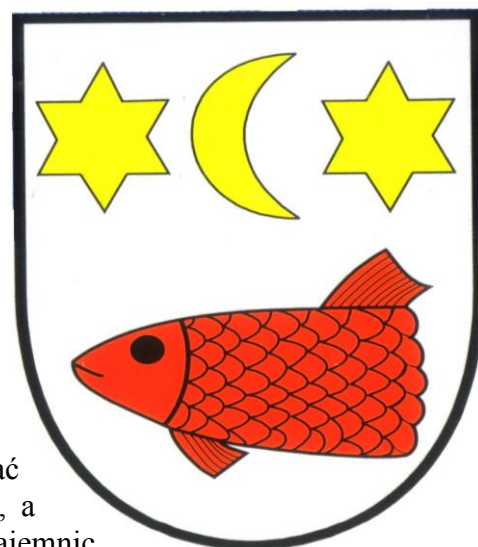
### CO OZNACZA HERB KOWALEWA?

**K**owalewo jest jednym z dwu miast powiatu Golub-Dobrzyń. Ze względu na swe położenie na skrzyżowaniu dość ważnych szlaków komunikacyjnych niejedną raz w bogatej historii zostało mocno poszczerbione przez maszerujące tędy rozmaite wojska. Ewidentnie zabrakło też miasteczku nieco szczęścia, aby mocniej zaistnieć gospodarczo na terenie Pomorza Nadwiślańskiego.

Nie znaczy to, że Kowalewo nie ma czym zafascynować przybysza, byle przedstawiający posiadał odpowiednią wiedzę, a druga strona ciekawość i trochę serca do poznawania wielkich tajemnic małych miasteczek, gdzie jak powszechnie wiadomo czas płynie zdecydowanie wolniej.

Gdy już nachodzisz się po uroczych wąskich uliczkach, zwiedzisz tutejszy kościół o wczesnośredniowiecznej metryce (zbudowany w latach 1286-1300), obejrzyś fragmenty dawnych murów, zerkniesz na basztę, policzysz zgrabne kamieniczki rynku, wtedy masz czas na wysłuchanie ciekawej, nieraz prawdziwie fascynującej historii Kowalewa. Zwłaszcza ta średniowieczna robi wrażenie. Błyszczą w niej postać krzyżackiego rycerza Arnolda Kropa, bohatera z 1272 roku, który to według najnowszych badań był faktycznym założycielem komturstwa kowalewskiego, a który pochodził z możnej rodziny ministeriałów frankońskich z Flüglingen. Tenże Krop, we wspomnianym roku uratował Kowalewo przed straszliwymi Bartami z północy, pod wodzą niejakiego Dywana. Oto jak ten epizod opisał sam kronikarz krzyżacki Piotr z Dusburga: „*Wreszcie Dyawan, dowódca Bartów, obległ zamek Kowalewo i przysiągł na moc swoich bogów, że jeśli szybko nie wydadzą zamku w jego ręce, to wówczas przed bramą zamku powiesi tak braci, jak i zbrojnych. W zamku tym przebywali tylko trzech bracia i kilku zbrojnych. Tym właśnie uzbrojonym ludziom bracia kazali założyć płaszcze zakonne i tarcze, by zastraszyć oblegających, i aby wydawało się, że braci jest więcej. Po tym (...) bracia ruszyli do ataku i ranili oraz zabili wielu wrogów. Natomiast brat Arnold Krop wystrzelił strzałę z kuszy i przeszył nią szyję wspomnianego Dywana. Kiedy ten zmarł, pozostali Prusowie (...) wycofali się.*”

Potem jeszcze wiele razy pojawiała się postać brata Kropa, przy okazji rozmaitych działań polityczno- gospodarczych. Prawdopodobnie uczestniczył on w negocjacjach z biskupem włocławskim, które zakończyły się przejęciem przez Zakon dóbr golubsko-ostrowickich (co dało podstawę do powołania później komturstwa w Golubiu i rozwoju samego Golubia). Wiemy, że doradzał wielkiemu mistrzowi w sprawach polityki administracyjnej.



Dla nas ta postać jest też o tyle ważna, że Krop z racji wypełnianych funkcji mógł brać jakiś udział w procesie zatwierdzenia herbów dla komturstwa i miasta Kowalewa. Najwcześniejsze ich wizerunki znamy z odcisków pieczętnych, a także z wyobrażenia na chorągwi komturstwa kowalewskiego, która została zdobyta przez Polaków w bitwie pod Grunwaldem. Opiszmy je zatem.

Herb komtura to dwie czerwone ryby na białym polu, zgięte w grzbietach, nachylone ku sobie głowami i płetwami ogonowymi.

Najbardziej spektakularne jego użycie nastąpiło w czasie wielkiej wojny Zakonu z Polską, gdzie taki właśnie rysunek był wymalowany na chorągwi komturstwa kowalewskiego, którego rycerstwo uczestniczyło w finałowym starciu tej wojny, w bitwie pod Grunwaldem. Wówczas poległ komtur Nicolaus von Viltz, oraz większość rycerzy jakimi dowodził, zaś po bitwie, chorągiew podzieliła los innych zdobytych wówczas znaków krzyżackich i z woli króla Jagiełły zawisła w Katedrze Wawelskiej, gdzie można ją oglądać w Kaplicy Św. Stanisława.

Herb miasta to pół ryby na fali, a nad nią półksiężyc w nowiu między dwoma gwiazdami sześcioramiennymi. Przyjmuje się, że barwy heraldyczne są takie jak na chorągwi grunwaldzkiej z herbem komturii, czyli: czerwona ryba na białym tle, gwiazdy i księżyc złote (wyrażony przez żółty).

Najstarszy taki właśnie wizerunek (rzecz jasna bez kolorów) znamy z 42 mm odcisku pieczęci wyciśniętej na dokumencie nie datowanym, lecz skądinąd wiadomo, że pochodzącym z około 1400 roku (ciekawe, że widnieje na nim – odcisku - polska nazwa miasta, bo łaciński napis w otoku głosi: +SIGILUM+CIVITATIS+DE+COWALEWO).

Ponieważ dziś już nawet specjaliści mają problemy z odczytywaniem przesłania średniowiecznych herbów, to - zwłaszcza ostatnimi czasy - powstało kilka legend, a także całkiem poważnych, choć dziwacznych rozważań, usiłujących rozwiązać tę zagadkę. Najpopularniejsza wersja z owych usiłowań tak tłumaczy powstanie ciekawego herbu Kowalewa:

Dawno temu mieszkańcy Kowalewa, które było położone między dwoma jeziorami zajmowali się połowem ryb w onych. Wszystko było dobrze, do kiedy tamtejszemu komturowi nie przyszło do głowy wprowadzić tak drakońskie podatki, iż aby je uiścić rybacy musieli oddać połowę (wg, niektórych wersji nawet więcej niż połowę) złowionych ryb. Rzecz jasna mieszkańcy Kowalewa nie pogodzili się z tym nakazem i aby uniknąć płacenia podatku musieli łowić w nocy, przy świetle gwiazd i księżyca, zaś te wkrótce wylądowały na herbie.

Legenda, jak to legenda, nie ma co się nad nią znęcać, bo rządzi się swoimi prawami i nawet nie koniecznie musi respektować historyczne i logiczne realia, za to trzeba przyznać, że jedną prawdę zawiera na pewno- Kowalewo rzeczywiście kiedyś leżało między dwoma jeziorami. Zresztą jego niemiecka nazwa "Schönsee" (Piękne Jezioro) jest jakby pamiątką po jednym z nich. Osuszono je, zasypano, po czym częściowo zabudowano, tak, że dziś trzeba wiedzieć czego się szuka, aby odnaleźć w terenie ślad po nich.

Spróbujmy herb Kowalewa czytać językiem symboli (jak trzeba z wszystkimi średniowiecznymi herbami), a nie traktować go jako ilustracji do konkretnych zdarzeń. Trzeba cofnąć się do czasów, gdy miasto dopiero budowało swe mury, może do roku 1275, pod którą to datą zanotowano w Roczniku Toruńskim, że "*Schonscho civitas edeficata est*" (czyli Kowalewo miastem jest), gdy miasto stało się siedzibą komtura, gdy czterowieżowy potężny zamek zdecydowanie panował na okolicę, przy okazji symbolizując moc jego panów – rycerzy krzyżackich. Trzeba zajrzeć do średniowiecznych katedr, również tych z naszego Pomorza, poznać symbolikę rzeźb, wczuć się w mentalność, poznać wiedzę tamtej epoki...

Zadanie daleko wykracza ramy tego artykułu, dlatego spróbujemy podejść do niego bez potężnej części wprowadzającej, opisowej, poprzestając na swoistych „oświadczeniach”, a całą rzecz traktując raczej jako przyczynek do dyskusji.

Zestawmy co wiemy na pewno:

- Herb Kowalewa jest średniowiecznej proveniencji, ponieważ najwcześniejszy znany nam dziś odcisk pochodzi z około 1400 roku.
- Herb powstał, gdy miastem absolutnie rządzący krzyżacy i to oni decydowali o najważniejszych sprawach, również reprezentacyjnych, co oznacza, że symbolika miasta musiała wywodzić się z ich zasobów, im odpowiadać, przez nich być zatwierdzona.
- W rysunku herbu są trzy elementy: ryba, dwie gwiazdy, księżyc.
- Wszystkie te elementy występują w symbolice chrześcijańskiej, którą krzyżacy doskonale znali i stosowali.

Ten ostatni punkt właściwie odpowiedział na pytanie skąd wziął się herb Kowalewa (z uwzględnieniem wcześniejszego zastrzeżenia, że długi, szczegółowy wywód pozostawimy na inną okazję) – z symboliki chrześcijańskiej, którą pielęgnowali, bogato stosowali rycerze Zakonu.

Sprawdźmy zatem co kryje się pod poszczególnymi znakami składowymi rysunku:

**Ryba.** Jest to stary symbol religijny pojawiający się wśród znaków używanych przez chrześcijan jeszcze wcześniej niż znak krzyża. Zgodnie ze starą tradycją Ryba symbolizuje samego Chrystusa. Greckie słowo „ryba” – ichthys, można czytać jako akronim słów *Iēsoûs Christós Theoû Huiós Sôtér* (Jezus Chrystus Syn Boga Zbawiciel).

Trzeba wiedzieć, że ryby odgrywają ważną rolę w dwóch opowieściach Nowego Testamentu. Dwie ryby (tak jak w herbie kowalewskiej komturii), obok pięciu bochenków chleba symbolizują cudowne nakarmienie pięciu tysięcy. A pamiętacie, gdy Jezus na początku swej misji obiecał dwóm rybakom (Piotrowi i Andrzejowi), że uczyni ich „rybakami ludzi”? Rybę traktowano jako symbol duszy, a ich łowienie jako zbawienie (św. Jan 21,4-14). Ryba to także przypomnienie o Sądzie Ostatecznym (po wyciągnięciu sieci dobre zostają, zaś złe zostaną odrzucone, św. Mateusz 13,47-48).

Ryba była atrybutem kilku świętych (np.:Piotr, Szymon Zelota, Rafał).

Pewnie, że ryby zdarzają się w herbach innych miast i symbolizują całkiem prozaiczne sprawy, po prostu oznaczają dawną osadę rybacką (np. Gdynia), czy wręcz prezentują typową faunę danego obszaru (dwa jesiotry w herbie Carycyna), lecz są to wszystko herby stosunkowo „młode”, powstałe w innej epoce, gdzie im tam do starego, szacownego znaku z Kowalewa?!

**Księżyc.** Fakt, że pojawia się w nocy sprawił, że był kojarzony z jakąś tajemnicą, ogólnie oznaczał pogodne czuwanie nad sprawami ziemskimi. W symbolice religijnej półksiężyc reprezentował Kościół a słońce Chrystusa. Na przykład w herbach dwóch miast śląskich Bolkowa i Chojnowa mamy do czynienia z wizerunkami słońca i księżyca. Odczytuje się z tego następującą ideę- gdy Księżyc –Kościół zbliża się do Słońca-Chrystusa tym bardziej słabnie jego blask, o co przecież chodzi.

Najbardziej znany w Polsce herb z księżycem (i gwiazdą) w rysunku, to herb Leliwa (Sas, Drogosław). Ma on swoją legendę herbową, jednak nawet najbardziej znani polscy heraldycy przyznają, że powstała ona znacznie później, niż sam herb.

**Gwiazdy.** Gwiazda sześcioramienna oznacza wzniosłe czyny, bezpiecznego przewodnika, jest też starożytnym symbolem Stworzenia, lecz w sztuce religijnej gwiazda nade wszystko reprezentowana jest jako znak Najświętszej Marii Panny. Właśnie Maria była wielokrotnie określana jako „najjaśniejsza z gwiazd”, „Stella matutina”, Gwiazda Poranna, która poprzedza wschód Chrystusa-Słońca i wydaje Go na świat. Pewna średniowieczna sekwencja wyraża tę

myśl następująco: "Nowa Gwiazdo, porodziłaś Syna: Słońce". Hymn wieczorny Ave Maris Stella pozdrawia Maryję jako "Gwiazdę Morza", która wskazuje drogę, i niosąc otuchę, świeci nad falami świata. Św. Bernard z Clairvaux rozwija ten obraz w homilii na święto Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, mówiąc: "Gdy zerwą się wichry pokus, gdy wpadniesz w rafy nieszczęść, spójrz na gwiazdę, wzywaj Maryję!"

"Potem wielki znak ukazał się na niebie: Niewiasta obleczona w słońce i księżyc pod jej stopami, a na jej głowie wieniec z gwiazd dwunastu" (Ap 12,1). Sama biblia łączy Marię z gwiazdami, co skwapliwie wykorzystali twórcy zaszczytnych znaków średniowiecza. Znane są przypadki takiego właśnie przedstawiania NMP w herbach miast (np. Górzycy), a już w naszych stronach najbardziej spektakularne przedstawienie tego możemy dostrzec w herbie karmelitów (choć rzecz jasna nie jest to nasza tradycja), co łatwo zobaczyć w Oborach (trzy gwiazdy reprezentują postacie Maryi, Eliasza i Elizeusza).

Wszystko wskazuje na to, że w bardzo ciekawym herbie Kowalewa mamy do czynienia z jasnym wykładnikiem działalności jego właścicieli – Krzyżaków. Zaznaczeniem pewnej misji i zapewnieniem, iż jest ona pod potężną opieką.

Najbardziej niepewnym znakiem w całym rysunku herbowym jest ryba. Jeżeli wziąć pod uwagę (co niekoniecznie musi być oczywiste), że jest to tylko pół ryba (celowy zabieg mający może odróżnić ją od starego chrześcijańskiego symbolu – całej ryby) a na dodatek ma pod sobą wyobrażenie fali, to można chyba dopuścić, iż całkiem wiarygodne jest przekonanie, że przedstawia kawałek świata materialnego, może - "Schönsee" - Piękne Jezioro? To by było całkiem pięknie... Przyznacie.

## Elgiszewo, Ostrowite, Wielka Łąka, Pluskowęsy PAMIĄTKI PO CZARTACH, ZBÓJACH, MOKRADŁACH, DUCHACH...

**N**iewielu ludzi zastanawia się nad znaczeniem starych nazw miejscowości, czy miejsc, a tymczasem taka umiejętność, teraz nawet nauka (wymagająca jednak solidnych podstaw słowotwórstwa i znajomości dziejów odnośnych okolic) pozwala nam na odczytanie zadziwiających nieraz historii, lub początków, warunków w jakich powstała dana sadyba, a zaklętych w jednym (np. Elgiszewo), góra dwóch wyrazach (np. Wielka Łąka).

Językoznawca słysząc nazwę Ostrowite, bez większego ryzyka odgadnie, że początki tej miejscowości wiążą się z obronnym grodziskiem posadowionym w terenie już ze swej natury predestynowanym do tego, np.: wyspa, półwysep, jedyne, lub najwyższe wzgórze w okolicy. Nazwa Wielka Łąka jest dużo bardziej prostsza do odszyfrowania nawet przez amatora, jednak jak wspomniałem, zajmuje się tym profesjonalnie specjalna nauka toponimia, lub toponomastyka (z greckiego topos – miejsce, onoma – nazwa) i dla rzetelności oraz powagi WIEDZY, lepiej niech tak pozostanie.

Jest jednak taka kategoria nazw, którą miłośnicy ludowych historii lubią szczególnie i nic tu nie pomogą zastrzeżenia językoznawców, żeby nie wchodzić na ich teren. Mam tu na myśli nazwy nie tyle wsi, co jej rozmaitych części, czyli na przykład łąk, pastwisk, lasów, bagien, zabudowań, uroczysk, starych ruin poza miejscowością itp. Miejsca te często były obdarzane prostymi nazwami, związanymi z ich właścicielami (Kosakowe pole- pole rolnika Kosakowskiego), właściwościami (Czerwone doły – doły po wyrobiskach gliny), charakterystycznymi obiektami (Kuźnia – obszar na którym osiadł kowal), ukształtowaniem terenu (Garby – charakterystyczne wzgórza), rolą (Wsiowa steczka – dróżka użytkowana przez całą wieś), historycznymi przejściami (Szwedzki szaniec- miejsce dawnych umocnień ziemnych, może szwedzkich), wierzeniami (Czarcie błota – bagna uważane za nawiedzone przez złe moce).

Dziś mieszkańcy wielu wsi utracili ze zbiorowej pamięci dawne lokalne nazwy, określenia, a jeżeli nawet coś tam jeszcze się kołaczę, to mało kto kojarzy je sobie z jakimś semantycznym znaczeniem, bo np. „krowia górka”, to panie ... „krowia górka” i już! Szkoda.

W materiałach etnograficznych zebranych przez księdza Władysława Łęgę znalazłem kilkanaście ciekawych nazw topograficznych, które on spisał jeszcze na początku XX wieku, a odnoszących się do czterech miejscowości interesującego nas terenu.

Oto w Elgiszewie nasz wielki badacz odnotował następujące nazwy wsi: Ameryka (wybudowanie odległe od centrum wsi, zamieszkałe przez gospodarza, który wrócił z emigracji zarobkowej – daleko jak do Ameryki!), Seperunki (gospodarstwa również odległe od centrum wsi, powstałe na skutek podziałów ziemi), Zapłocie (kilka gospodarstw położonych za granicą starej wsi).

Pola nazywano następująco: Kąty (obszar należący do kilku właścicieli, dziwacznie wydzielony, leżący między krętymi drogami), Koponka (pole w zagłębieniu dolinnym), Łacha (położone było między łąkami), Nowiny (wydzielone na terenach dawnych nieużytków). Okole (długi kawał, leżący łukiem na peryferiach), Pieńki (dawne leśne karczowisko), Pólko (swą nazwę wzięło od niewielkiego areału, samotnej uprawnej polany), Rekicina (od nazwiska właściciela), Toboły (nazwa pamiątkowa, związana z miejscową legendą o rabusiach), Zdrojki (mówiono mi, że to od drobnych strumyków, które wypływały nawet podczas orki).

Dwa stare stawy nazwano: Kociołek (jego lustro wody miało kształt koła i było bardzo głębokie) i Topielec (miejscowa tradycja mówiła o jednej, lub dwóch ofiarach nierozważnej kąpieli, choć już w czasach Łęgi staw był wyschnięty, jednak po ulewnych deszczach teren po nim zmieniał się w niebezpieczne grzęzawisko).

W Ostrowitem ciekawie nazwano grupki wzgórz, a mianowicie Maciej (nazwa pamiątkowa wzgórz nad jeziorem, gdzie wg. starej miejscowej legendy zapadł się kościół – czasem z głębin podobno słycać jego dzwony...) i Żale (nazwa przechowywana w ludowej pamięci oznaczająca miejsce cmentarne, groby- ludowe bajania potwierdziły współczesne wykopaliska).

Z pól, najbardziej oryginalne są dwie nazwy: Czarciak (każdy we wsi wiedział, że wieczorami tam straszy, może nawet sam diabeł między zbożem orcuje), oraz Zapadlak (teren położony dość nisko, żeby tak go określić).

W czasach Władysława Łęgi była bardzo silna tradycja mówiąca o istnieniu ongiś dużej karczmy Ostrzywilk (tak zapisał nazwę W.Ł., choć pewnie powinna ona brzmieć tak jak nazwa jeziora, czyli Oszczywilk). Sprawa jest historyczna, ponieważ ów przybytek rzeczywiście istniał, czego najwymowniejszy dowód możemy znaleźć na doskonałej mapie Friedricha Leopolda von Schröttera (1743-1815, m.in. szef Departamentu Prowincji Pruskich, mason, autor reform Fryderyka Wilhelma III, dobry znajomy Immanuela Kanta, Teodora von Hippela, w latach 1796-1802 pod jego kierownictwem opracowano „Atlas prowincji Prus Wschodnich, Litwy i Prus Zachodnich oraz sieci dystryktów” ze 140 mapami w podziałce 1:50 000, berlińskie wydanie z lat 1802/1810 nazwano „mapą Schröttera”). Wynika z niej, że karczma znajdowała się na skrzyżowaniu starych dróg : Golub - Ostrowite- Borek-Kowalewo i Skępsk- Gajewo – Napole.

Władysław Łęga nazwę „Ostrzywilk „ interpretuje jako – „ostrzy- wilk [zęby]”. Gdyby przyjąć ten sposób rozkładania, to „Oszczywilk” należy zinterpretować jako... No dobrze. Tak, czy inaczej mamy tu do czynienia ze świadectwem dawnej aktywności wilków i dość oryginalnego poczucia humoru.

Na przełomie wieków XIX i XX mieszkańcy Wielkiej Łąki wyróżniali aż pięć części wsi: Wybudowanie (nowe gospodarstwo na peryferiach), Rybaki (od rodziny zajmującej się połowem i handlem rybami), Papiernia (podobno istniał tam niewielki zakład wyrabiający papier dla Torunia), Skrobacz (tradycja wiąże nazwę z istnieniem karczmy należącej do kogoś o podobnie brzmiącym nazwisku, choć są i tacy, którzy to miano łączą z cechą charakteru owego właściciela, czyli skąpca, człowieka łasego na pieniądze- „skrobacza”), a na końcu także obszar związany z na poły legendarną karczmą, o wdzięcznej nazwie Zabijak (to, jak się zdaje na pamiątkę krwawych bójek, które w czasach I Rzeczypospolitej, gdy szabelki dość luźno w pochwach siedziały, nie tak znów rzadko kończyły się śmiercią).

Ciekawe nazwy miały (już nie istnieją) stawy: Trzciniak (wszystko jasne), Rychel (nazwa własna, o trudnej do wiarygodnego odtworzenia etymologii) i Płaczkowo (mamy tu do czynienia z prostym odnośnikiem do starej ludowej legendy o płaczącym upiorze topielca). Wśród nazw pól spisano dwie: Koło Dęba (no i gdzie to pole mogło się znajdować?), oraz – uwaga – Czarciak (legenda głosiła, że pole urządzone po zasypaniu starego bagna, w którym ktoś się utopił i kogo nigdy nie wyciągnięto, toteż paskudne widmo tego kogoś, po dzień dzisiejszy błądzi strasząc niby czart, stąd – Czarciak).

W Pluskowężach, do początków XX wieku przetrwała nazwa związana z karczmą Sowiak (ponieważ znajdowała się w lesie, a pijakom drogę do domu oświeślały jedynie... sowie oczy), oraz karczmą Czerwonka (podobno nazwa wzięła się od krwi, jaką awanturnicy przelewali tam nieustannie).

Pomimo makabryczności niektórych nazw (zwłaszcza w zestawieniu z ich etymologią) wypada tu przyznać, że dawni mieszkańcy omawianych miejscowości przejawiali sporą pomysłowość i wiele, momentami nawet dość rubasznego – humoru. Wychodząc zapewne z założenia, że skoro nie można strachu zwalczyć, zgłębić przyczyny zjawiska, to przynajmniej choć lekko go ośmieszyć. Czy to nie zostało nam do dziś?

## Wielka Łąka, Elgiszewo, Ostrowite, Elzanowo

### „MÓWCIE SOBIE CO TAM CHCECIE KRASNOLUDY SĄ NA ŚWIECIE”

**J**akkolwiek nieprawdopodobnie to brzmi, trzeba nam wiedzieć, że jeszcze sto lat temu wielu ludzi z terenów wymienionych w nadtytule (a to z pewnością nie jest precyzyjny obszar) wierzyło w istnienie... krasnoludków. Tak, tak, to nie żadne żarty, a efekt analizy prac etnograficznych. Od razu sobie powiedzmy dwie sprawy; po pierwsze, nasz obszar nie był wówczas jakimś nadzwyczajnym oryginałem w tej sprawie, po drugie ludowe wyobrażenie krasnoluda niewiele miało wspólnego z tymi uciészonymi ludkami, o wielkich nochalach, jakie znamy z doskonałych kreskówek Walta Disneya.

Chyba najwięcej wieści na temat naszych naddrzewnych krasnoludów pozostawił nam ksiądz Łęga (1889- 1960), który badał te okolice od 1934 roku do wojny, zaś potem opisał prawie wszystko w swoich dziełach.

Czas zatem poznać to ciekawe stworzenie, które kiedyś tak poruszyło wyobraźnię dawnych mieszkańców wsi doliny Drwęcy.

\* Pierwsza kwestia to nazwa. Tu mamy kilka: skrzak, kraśniak, kraśnoludek, krasnoludek.

\* Druga kwestia - kto to taki? Otóż ogólnie rzecz ujmując, krasnoludek jest duchem domowym przysparzającym dobrobytu (choć bywają również wrednie złośliwe)

\* Trzecia kwestia – jak wygląda? Hmm... To jest problem. Mieszkający w Wielkiej Łące informator Władysław Łęgi doniósł mu, iż krasnolud jest miniaturką człowieka. Nosi zazwyczaj długą brodę, a ubiera się w szykowny komplecik koloru czerwonego, szarego, lub zielonego. Na nogach ma długie buty, zaś głowę przykrywa białą (Disney kłamał!) czapeczką. Taki wygląd krasnoluda nie jest niestety do końca pewny, albo ten osobnik ma możliwość przepoczwarczenia się w inne postaci. Oto w Elgiszewie zanotował Łęga taką wypowiedź – „U Dulki (to pewnie nazwisko gospodyni) widziano wychodzącego z domu skrzaka jako gwiazdę z długim ogonem. Przynosi on pieniądze ludziom, co umowę zrobili ze złym duchem”. A to ci Dulka! Musiała mocno potrzebować tych pieniędzy.

Czasem krasnolud może się wcielić w postać... kurczaka, koguta, czy innego ptaka.

\* Gdzie krasnolud mieszka? W okolicach Wielkiej Łąki te stworzenia najczęściej mieszkają pod kominkami, w piekarnikach, lub za piecami. W innych okolicach najczęściej możemy je wytropić w lesie, pod wielkimi korzeniami, pod kopcami. Zajmują też opuszczone nory przy wzgórzach (dlaczego akurat przy wzgórzach, tego nie wiadomo, ale nie ma co wydziwiać). Do ludzkich domów wchodzi najczęściej przez komin (przez drzwi było by prościej, ale te są najczęściej zamknięte, natomiast komina nikt nie zastawi)

Czym się krasnoludy zajmują na co dzień? To nie jest do końca zbadane. Wiemy, że można się z nimi dogadać co do drobnych usług. Czasem podrzucą nieduże pieniądze (za większe trzeba się niestety sprzedać... skąd my to znamy?), czasem przypilnują żeby nie zgasł ogień w piecu, mogą przynieść zboże (niestety, w przypadku większej ilości sprawa jak z pieniędzmi), a mogą też zabawić dzieci (uwaga, bo gdy trafimy na te wrednie złośliwe kraśniaki to mogą nawet pozamieniać nasze pociechy na obce!).

Ostatnio jakby mniej słyhać o krasnoludkach. Próbowałem o nie pytać dorosłych mieszkańców czterech gmin powiatu golubsko-dobrzyńskiego, ale jakoś tak dziwnie na mnie patrzyli, więc dałem spokój. Na pewno chcą rzecz całą utrzymać w tajemnicy. Zrozumiała sprawa.

Wy jednak nie rezygnujcie z próby znalezienia owych stworków, bo – podsumowując - trzeba uznać, że przy całym ryzyku trafienia na złośliwca warto mieć u siebie w domu kilkoro zaprzyjaźnionych krasnoludków. Zapytajcie tych co mają!

## Elgiszewo

### O PRZEKŁĘTEJ KARZMIE

**E**lgiszewo jest nie tylko jedną z najpiękniej położonych wsi gminy Ciechocin, lecz bez przesady można powiedzieć, że i całego powiatu golubsko-dobrzyńskiego. Od południa ograniczają ją wody rzeki Drwęcy, zaś od północy przysłania skraj wielkiego kompleksu lasów.

To bardzo stara wieś, ponieważ pierwsze wzmianki o niej pochodzą z dokumentu datowanego na 1293r. Mówi on o decyzji biskupa kujawskiego Wisława, który postanowił odstąpić krzyżakom ziemię pomiędzy Golubiem a Ostrowitem za wyjątkiem właśnie Elgiszewa. Od 1582 roku, aż do rozbiorów miejscowość była w posiadaniu biskupów kujawskich.

Nic zatem dziwnego, że przy tak starej metryce, będąc świadkiem długich dziejów, wieś przeżyła niejedno dramatyczne wydarzenie. Zdecydowana większość ludowych opowieści przeszła bez śladu wraz z minionymi pokoleniami, ale nie wszystkie. Ślad jednej z tych co ocalały utrwalił ksiądz Łęga, a my ją opowiedzmy na nowo.

Koło Elgiszewa, w miejscu przez tutejszych ludzi zwanym Tobołki znajduje się grobla. Dawno temu stała tu karczma. Dość szczególna karczma, ponieważ gromadzili się w niej złodzieje i rozmaici rabusie. Tu nie tylko posilali się przed następnymi wyprawami, lecz przede wszystkim wymieniali między sobą skradzione dobra, a także zastanawiali się nad planami kolejnych napadów, czy rabunków.

W karczmie była głęboka piwnica z dwoma lochami; w jednym rabusie urządzili skarbiec, zaś w drugim więzienie dla swoich ofiar, którymi najczęściej byli kupcy mający nieszczęście spotkać na swej drodze rabusiów. Rzadko który więzień opuszczał to miejsce żywy. Najczęściej nieszczęśliwie ginął w tym ponurym podziemiu, zaś jego kości wplątywały się w białe szkielety jego poprzedników...

Aliści któreś nocy do karczmy przybyła banda oprychów kryjąca w swych worach złoto i srebro skradzione z jakiegoś kościoła. Wśród rozmaitych precjozów była też złota monstrancja z hostią w środku, czego ci świętokradcy rabując po ciemku nie zauważyli.

Starym zwyczajem wrzucili swój łup do lochu, po czym kazali sobie podać dobre jedzenie, a gdy już napełnili brzuchy, przeplukali gardła gorzałką, jak gdyby nigdy nic poszli spać.

Piały już pierwsze koguty, gdy nad Elgiszewo nadciągnęła ciężka ołowiana chmura. Jej potężny granatowy kłęb sunął złowrogo niemal nad czubkami drzew, gdy wtem pękł! Potworna błyskawica spadła na ziemię i jednym uderzeniem zmiotła zbójcecką karczmę. W ciągu mgnienia oka zamieniła się w kupę bezładnie rozrzuconych kamieni...

Minęły lata, potem ich dziesiątki... Sto lat, dwieście... może więcej. Ludzie zawsze omijali to miejsce widomego Gniewu Bożego, a choć las zarósł okolicę, to ten przeklęty plac po karczmie, gdzie wciąż leżą porozrzucane siłą gromu kamienie pozostał goły niczym wyspa.

Czasem, w długi zimowy wieczór, gdy jaki stary bajarz opowiada tę historię, wtedy żegna się bojaźliwie wspominając o podziemnym zbójceckim skarbcu. Nie słyszałem, żeby komuś doradził kopanie w jego poszukiwaniu... Wy też nie próbujcie... Chociaż?... Eeee nie, lepiej nie.



## Nowogród

### O TYM JAK KSIĄDZ PIKULIŃSKI POŻAR KOŚCIOŁA PRZEPOWIEDZIAŁ

**A** gdy będziecie kiedy w Nowogrodzie (warto, bo to wieś malowniczo położona nad wodami wielkiego jeziora, czysta, zaś mieszkańcy przyjaźni) to zatrzymajcie się koniecznie przy tamtejszym kościele. Tym razem nie chodzi o podziwianie starożytnego muru, gdyż obecna świątynia została wzniesiona dopiero w latach 1901- 1906, natomiast idzie o poznanie atmosfery miejsca, gdzie historia miała miejsce. Przekonacie się sami, że panuje tu błogi spokój, płynący może z sielskości krajobrazu, a może nadzwyczajnych właściwości miejsca, gdzie już w XIII wieku biskup kujawski kazał wznieść pierwszy drewniany kościół.

Nie miała szczęścia ta budowla, ponieważ już w pierwszych dniach wielkiej wojny pomiędzy Zakonem Krzyżackim, a Królestwem Polski (1409r) padła łupem oddziałów krzyżackich, którzy najpierw kościół obrabowali, a potem spalili. Parę lat później biskup kujawski Jan Kropidło dowodził przed trybunałem polubownym w Budzie, że napastnicy ukradli nawet mosiężną misę chrzcielnicy, zaś święconą wodę z niej wylali na cmentarzu...

Po tym kościół wyreperowano, lub pobudowano na tym miejscu drugi (co pewniejsze), jednak, przez wieki jeszcze kilka razy to miejsce, które na pierwszy rzut oka zda się oazą spokoju, zgniatały niszczące walce wojen.

Miała też parafia szczęście do kilku nietuzinkowych proboszczów, takich jak choćby ksiądz kanonik Ludwik Kamiński, który będąc szczerym, gorącym patriotą, nie patrząc na represje, z całych sił wspierał powstanie styczniowe.

W 1866r tutejsze probostwo objął ksiądz Szyszkowski. Był to człowiek w podeszłym wieku, słabego zdrowia, ale „praktyczny i zaradny”. Któregoś zimowego wieczoru, gdy krzątał się po swoim skromnym proboszczowskim gospodarstwie, zajechał do niego w gości młody ksiądz Karol Pikuliński, wówczas wikary jednej z sąsiednich parafii. Chciał się poradzić starego praktyka w jakiejś żywotnej sprawie. Jednak nie od razu mógł go znaleźć na plebance, wobec tego, znając ruchliwość Szyszkowskiego postanowił poczekać na niego spacerując po głównej drodze prowadzącej do świątyni.

Słońce krwawo zachodziło za horyzont, rzucając na ziemię długie cienie nagich, starych przydrożnych drzew, grając światłem na lesie oszronionych cmentarnych krzyży ludowego przykościelnego cmentarza, tryskając feerią barw wydobytych z wypolerowanego mosiądzu trzech dzwonów spokojnie drzemających na wieży. Iskrzyły wielkie lodowe sopte, niczym szklane miecze zwisające z dachu budowli...

Ksiądz Karol potrafił podziwiać i doceniać takie zjawiska, gdyż duszę miał wrażliwą na piękno świata, na urok chwil zesłanych przez Boga. Odwrócił się plecami do promieni, a potem idąc wolnym krokiem kontemplował niezwykłość zjawisk wieczoru.

Nagle jakaś niespokojna myśl przerwała błogość schyłku dnia. Młody kapłan tknięty strzałą niewytłumaczalnego przeczucia odwrócił się błyskawicznie, spojrzawszy pod słońce, w perspektywę drogi do kościoła. Dziwne zjawisko jakie ujrzał całkowicie wytraciło go z nastroju. Oto drogą zbliżała się jakaś wysmukła, chuda postać, której kontury rozmywała kolorowa poświata, zaś bryła świątyni za jej plecami zdawała się płonąć... Tak, właśnie płonąć. Potworna, krwawa aura otaczała całą świątynię... Okropne wrażenie...

Tymczasem postać zbliżyła się, a bliskość odarła ją z tajemniczości, ponieważ ksiądz Karol natychmiast rozpoznał w niej ascetyczną sylwetkę nowogrodzkiego proboszcza.

Chwilę później siedzieli razem w skromnej izbie plebanii. Młody kapłan czymś mocno zafrasowany pocierał czoło.

- Niewiele w naszej okolicy zostało drewnianych kościołów.
- Prawda – przyznał Szyszkowski.

- Opieka nad takim wymaga chyba dodatkowej fatygi – zauważył ksiądz Karol.
- To też prawda, ale ja już tak całe życie w starych świątyniach służę Panu Bogu i na żadnej z moich dotychczasowych parafii nic się nie stało, bo o to pewno bratu chodzi.

Wikary mocniej przetarł czoło, a potem uderzył się w piersi.

- Niech wielebny proboszcz nie myśli o mnie źle, jednak gdy czekałem ciebie na drodze, naszło mnie okropne przeczucie... Zresztą teraz sam nie wiem, czy to tylko takie teatrum natury, czy boży szept. Przez moment zdało mi się, że świątynia płonie, a ciebie bracie też nie od razu poznałem.
- Ha, sam teraz widzisz! Praca tu do zwykłych nie należy – uśmiechnął się proboszcz, a potem nagle spoważniał. - Wiem o czym mówisz, bo sam ostatnio taką wizję miałem. Nie pierwszą... To zachodzące zimowe słońce na mróz takie figle wyczynia. Powiem ci jednak, że ten kościół dziwną troską mnie napęlnia. Nieraz wstaję w nocy i idę opatrzeć kąty. Czy wiesz... – wycelował sękaty palec w gościa, przerywając na chwilę. – Czy wiesz, że od kiedy tu nastałem kilkakrotnie podniosłem sumę jego ubezpieczenia w fajerkasie? Teraz doszedłem już do pięciu tysięcy rubli. Parafianie mi się krzywią ale to nic... To nic. Kiedyś, gdy już umrę, zrozumieją, choć serce boli...

Proboszcz podniósł się z ławy, podszedł do okna, dłonią stał cienki kożuszek szronu i z troską spojrzął na majaczącą w zapadającym zmroku sylwetkę nowogrodzkiego kościoła.

- Więc ty Karolu też to widziałeś? Może to nic, a może... Wiesz, muszę podnieść kwotę ubezpieczenia do dziesięciu tysięcy rubli, bo gdybym umarł, kto to... Eee co plotę? Trzeba podnieść i już... Dopiero będę spokojny.

Jednak nie dane było księdzu Szyszkowskiemu spełnić swoich planów. Niedługo po tej rozmowie rozchorował się i zmarł. Mszę Świętą żałobną odprawił młody wikary z sąsiedniej parafii Karol Pikuliński, w koncelebrze z księdzem Feliksem Koško, którego biskup mianował nowym proboszczem.

To była sobota, 4 lutego 1899 roku. Dzień był mroźny, choć słoneczny. Ksiądz Feliks kończył Mszę Świętą, jak zwykle według liturgii wyśpiewując końcowe łacińskie błogosławieństwo. Odwrócił się do ludzi i uroczystym głosem wypraszał u Boga łaskę dla swoich owieczek. Otaczała go para płynąca z ust, z głębi gorących piersi. Tworzyła obłok i wolno sunęła w górę, aż pchnięta ciepłym powietrzem płonących świec pomknęła ku ukośnemu snopowi kolorowego światła wpadającego przez niewielką rozetę, z dość topornym witrażem Matki Boskiej. Czyniąc ostatni znak krzyża, proboszcz uniósł oczy, a wówczas napotkał wzrokiem swój obłoczek i ... wzdrygnął się. Smugi- czerwonych od szkiele witraża – promieni przeszły go dając wrażenie... łuny.

„Zostanę tu jeszcze trochę” – pomyślał. „Pomodlę się w konfesjonale...”- wtedy dostrzegł jakiś ruch w zakrystii. Poznał, to stary Boniecki z Macikowa. Proboszcz powolnym, dostojnym krokiem przeszedł od ołtarza do zakrystii. Boniecki, ubrany w stara wilczą szubę miał bardzo strapioną minę. W krótkich niezgrabnych słowach powitał proboszcza, po czym bez ceregieli oświadczył, że umiera jego małżonka i potrzebuje ostatniej posługi, oraz, że sanie stoją już pod plebanią.

Sprawa była jasna. Ksiądz Koško zawołał chłopaka pełniącego posługę kościelnego.

- Wncenty, jadę teraz do Macikowa. Pogaś wszystko, popraw wota przy Nepomucenie i zamknij kościół. Tylko żebyś zgasił świece, bo są już krótkie. Po wieczornej mszy je zmienisz.
- Pewnie, pewnie, proszę księdza – potwierdził chłopak i jeszcze pomógł proboszczowi zmienić szaty, a potem zniknął. Wpadł do kościoła. Szybko poprawił wota na małej tablicy ołtarzyka św. Nepomucena. Było niemal południe. Zimowe, czyste słońce niemal grzało skostniałą ziemię. Jego promienie wpadały przez spore okna świątyni, zalewając całe wnętrze

wprost niezwykłym światłem i blaskiem. Czyż w takiej jasności można od razu zauważyć, że zapomniano się o świecach?

Około godziny 16<sup>00</sup>, z gminnej szkoły w Nowogrodzie wracały dzieci do Kamiennego Smugu. Przechodząc niedaleko kościoła usłyszały niezwykły trzask dochodzący z jego wnętrza, a jednocześnie poczuły narastający, coraz wyraźniejszy swąd spalenizny. Podeszły nieco bliżej i stało się jasne- pali się w kościele! Dzieciaki natychmiast wszczęły alarm, ale najwidoczniej kilku gospodarzy już wiedziało co się dzieje, ponieważ zbiegali się z okolicy, taszcząc z sobą jakieś proste sprzęty przydatne do gaszenia pożaru. Ksiądz Koško, który zdążył wrócić z Kamiennego Smugu otworzył wierzaje świątyni, po czym nie patrząc na szalejące płomienie wpadł do środka, chwycił w dłonie przepiękną osiemnastowieczną monstrancję i chyba cudem jakimś nietknięty przez żywioł, zdołał przejść wśród morza ognia na przykościelny dziedziniec. Kilku odważnych wdarło się bocznym wejściem do zakrystii, skąd wynieśli ornaty, oraz trochę drobniejszych sprzętów, ale to wszystko, bo kłębowisko płomieni opanowało już każdy zakamarek, pochłaniając potwornymi jęzorami dobra gromadzone przez pokolenia.

Wnet zachwiała się wieża. Poruszone dzwony ostatni raz zagrały swą potężną muzykę, ostatni raz ich serca uderzyły z rozmachem. Gdy usłyszeli je zgromadzeni ludzie włosy na głowach stanęły im ze zgrozy. Nic nie mogli zrobić, więc w tej podniosłej chwili agonii swojej świątyni klękli na śniegu, głośno się modląc.

Nagle przepalona bela podpory pękła i w czeluść pożaru spadł najcięższy dzwon, po nim drugi, a potem upiorny trzask ogłosił światu, że właśnie pękł kręgosłup wieży, po czym zapadła się wraz z trzecim dzwonem, roznosząc wokół gejzery iskier. Nie było żadnej nadziei. Pod płonącym zwaliskiem na zawsze zniknął słynący łaskami obraz Matki Boskiej Nowogrodzkiej Miłosierdzia. Już nikt nie pochylił przed nim głowy, nie poprosił o łaskę, o zdrowie, nie podziękował za szczęśliwy żywot... Została tylko pamięć.

W 1910 roku nowym proboszczem parafii bez kościoła został ksiądz Karol Pikuliński. Podobno sam usilnie zabiegał o tę posesję na gruzach. Pierwszą jego decyzją była ta o rozpoczęciu budowy kościoła. Policzył pieniądze; z ubezpieczenia zawartego jeszcze przez księdza Szyszkowskiego przyniosły sumę 8100 srebrnych rubli, 1000 marek niemieckich dołożył ksiądz Antoni Kamiński z Chełmży (były parafianin), trochę pieniędzy nadeszło z Ameryki od byłego kościelnego, nieumyślnego sprawcy tragedii Wincentego (po pożarze tak bardzo gryzło go sumienie, że niezwłocznie po sądowym dochodzeniu wyjechał do Ameryki, z postanowieniem, iż część zarobionych tam pieniędzy przeznaczy na nową świątynię). Zatrudniono architekta Władysława Czechowskiego, który sporządził projekt i kosztorys (20 tys. rubli w srebrze), a potem murarza z Lipna, niejakiego Gustawa Dubalskiego.

Po pięciu latach, w dzień- pamiątkę ściecia św. Jana, czyli 29 sierpnia 1906 roku, w obecności trzynastu proboszczów i wielu tysięcy ludzi, przybyłych nawet z odległych okolic odprawiono pierwszą mszę. Po jej zakończeniu ksiądz Pikuliński poszedł samotnie na grób proboszcza Szyszkowskiego. Odmówił modlitwę za spokój jego duszy, a potem na skromnym kamieniu położył wielką czerwoną różę...

## Obory

# O TYM JAK KARMELICI W CZAS MOROWY DO OBÓR PRZYSZLI

**G**dy Palec Boży tworzył okolice dzisiejszej wsi Obory, to Pan Bóg musiał być w bardzo dobrym humorze, lub już wtedy powziął pewien zamiar co do tej ziemi, skoro obdarzył ją szczególnym pięknem krajobrazu, zachwycającym bogactwem formy, gdzie wystarczy nieraz ledwo parę kroków, by nowa perspektywa zaowocowała całą feerią niezwykle, zachwycających przedstawień pejzażu. Kręte drogi, giną za zboczami wyniosłych wzgórz, ostro gnając w dół, to znów podnosząc się mozolnie w górę wyprowadzają wędrowca na szczyt, skąd niby pośrodku pysznej galerii możemy podziwiać piękno ziemi dobrzyńskiej.

Na jednym z tych wzgórz, ba! Gór niemal, na jego świętym szczycie, od niepamiętnych czasów zwanym Grodziskiem, a potem Kalwarią bije mocnym pulsem duchowe serce tych okolic – kościół i klasztor ojców karmelitów.

Tu też, w ołtarzu głównym świątyni znajduje się niewielka średniowieczna rzeźba z lipowego drewna, dzieło nieznanego pomorskiego artysty, może karmelity, przedstawiająca Matkę Bolesną pochyloną nad zdjętym z Krzyża i złożonym na Jej kolanach Ciałem Jezusa.

Z punktu widzenia kanonów arcyzmu, owa rzeźba pewno nie zachwyci pięknoduchów od finezyjnych kształtów, bo znać na niej dłuto kogoś, kto rzeźbił bardziej sercem niż wyborną szkołą. Jednak pewnie dlatego to skromne, pokorne dzieło tak bardzo i niemal od razu trafiło do serdecznych pokładów świadomości religijnej tutejszego ludu. Pewnie w nieskomplikowanych, niemal swojskich, może znanych z przydrożnych kapliczek rysach Oborskiej Madonny dostrzegli także obraz swojego losu, swoich trosk, tragedii? Może zobaczyli swoją stroskaną matkę, którą było by im trudno odnaleźć w wymuskaniej figurze jakiegoś mistrza renesansowej rzeźby... Może. Oni przyjęli Ją natychmiast, a Ona?

\*\*\*

Była wiosna roku 1604. Łukasz Rudzowski, od pięciu lat właściciel majątku Obory wjechał konno po stromej ścieżce na szczyt wzniesienia, które zwano tu Grodziskiem. Stał na nim duży, niezgrabny krzyż, który jego chłopci ustawili jeszcze za poprzedniego dziedzica Łochockiego.

Głowę pan Łukasz miał ciężką od trosk. Zbliżała się starość, a tu z żoną Anną nie doczekali się dziedzica. Na nim skończy się stary szlachecki ród, zaś spore dobra, wraz z rodzinnym Murzynem trzeba będzie zapisać komuś... Tylko komu? Kto jest godzien przejąć pracę pokoleń Rudzowskich?

Pan Łukasz zsiadł z konia, podszedł do krzyża, ukląkł i oparł czoło o jego grubą, zimną belę. „Mógłbym poradzić się kogoś” – pomyślał. „Działyński powiadał o jakimś mądrym przeorze z klasztoru w Łąkach. Za Brodnicą? ... Nie, dalej, za Nowym Miastem... Karnkowski chwalił ojców karmelitów z Bydgoszczy... Też daleko.. Ale nie ma co, trzeba by jechać. Porady mądrej, bezstronnej posłuchać”. Podniósł głowę popatrzył w górę, gdzie majestatyczny krzyż rozkładał ramiona z sękatego drewna. Nagle jakaś myśl rozjaśniła mu oblicze - „Zaraz... Panie Boże!... No tak! Doskonała myśl! Niech ojcowie karmelici przyjadą tu! Uposażę ich hojnie. Dam im, hmmm... Dam im... Jasne! Dam im tę górę! Niech postawią tu kościół, klasztor, ofiaruję na utrzymanie połowę dóbr obórskich. Jeszcze dziś pomówię o tym z panią żoną.”

Tak właśnie zrobił. Pani Anna *de domo* Galewska Rudzowska skwapliwie pochwaliła zamiar męża, po czym razem wiedzeni jakimś nadzwyczajnym instynktem, dobrą myślą,

przeznaczeniem uznali, że zwrócą się do Zakonu Braci Najświętszej Maryi Panny z Góry Karmel żyjących w konwencie bydgoskim.

Ci, dar, oraz warunki jego otrzymania, czyli wieczystą opiekę nad świątynią którą fundator wybuduje przyjęli z radością, widząc okazję do rozszerzenia idei karmelitańskich, również tej z ich reguły: "Żyć w posłuszeństwie Jezusowi Chrystusowi i Jemu wiernie służyć z czystym sercem i prawym sumieniem".

Rok później przygotowano plac budowy, zgromadzono drewno, pan Łukasz sprowadził cieśli, a wtedy ktoś, skądś przywłókł... zarazę. Rozprzestrzeniła się po okolicy, gasząc żywoty jeden po drugim, trzebiąc wsie od Rypina po Dobrzyń.

Dziedzic był zrozpaczony. W żaden sposób nie mógł pomóc swoim poddanym. Sam bał się, że umrze nie dokończywszy dzieła budowy kościoła. Ponieważ jednak z karmelickim przeorem umówił, że pierwszych *fratrów* przyjmie wczesnym latem 1605 roku, postanowił ruszyć do Bydgoszczy, aby ostrzec zakonników, iż na razie nie powinni przyjeżdżać, ponieważ w Oborach szaleje zaraza, a śmierć zbiera obfite żniwo.

To wszystko opowiedział w szczegółach przeorowi bydgoskiego klasztoru, specjalnie uwypuklając niektóre okropności, bo nie chciał, żeby pobożni karmelici od razu znaleźli się w strasznym niebezpieczeństwie.

Stary, siwy przeor, z przejęciem słuchał relacji pana Łukasza o tragedii mieszkańców ziemi dobrzyńskiej. Słyszając o tylu ofiarach, schylił głowę, szepcząc modlitwę za zmarłych, a potem nagle podniósł dłoń, tym gestem przerywając Rudzowskiemu w pół zdania

- Więc nikt się tymi biedakami nie opiekuje? Żadnej pociechy duchowej też nie mają?
- Niestety, wieloebny ojcze. Jak mówiłem. Jedyne go dobrego medyka zaraza zabrała zaraz na początku, a księża z parafii nawet jeśli żyją, to nie gromadzą już ludu do mszy, bo boją się żeby jeden drugiego nie zarażał... Po wsiach palą stosy, ale nic nie pomaga. Strasznie nas Pan Bóg doświadcza. Z naszym dziełem trzeba poczekać, może za parę miesięcy wszystko minie, wtedy przyślę po was.
- Bo widzisz waśc- przerwał karmelita. – Skoro jest tak, jak powiadasz, to ruszać trzeba zaraz, bez żadnej zwłoki.
- Jak to? Toć tam śmierć szaleje! – Zawołał pan Łukasz. - Ostrzegam ojcze!
- Najprzód, to tam lud pociechy potrzebuje – zauważył przeor. – Nie wiem co waszmość o karmelitach słyszałeś, ale ci powiem, że sługami bożymi jesteśmy, a w naszym charyzmacie na równi kontemplację, jako też braterstwo i służbę wśród ludzi mamy. Tedy, panie Łukasz, jutro ruszamy do Obór. Powiem też ojcu Nechemiaszowi, żeby zabrał z sobą figurę Matki Bolesnej z Jezusem, która jest w naszym bydgoskim domu bodaj od początku. Ponoć jeden z naszych braci w chwili natchnienia ją wyrzeźbił...

Stary karmelita podniósł głowę i spojrział na wiszący w pomieszczeniu krucyfiks, a potem nie odrywając wzroku od niego stwierdził – Ludzie szczególnie lubią modlić się przed ową rzeźbą, chyba rozumiejąc, że w tym skromnym dziele naszego brata sam Chrystus został uwielbiony... Czy wiesz waszmość panie Rudzowski, że wiele próśb tych modlących zostało wysłuchanych, że wiele łask na nich spłynęło? Tak, weźmiemy tę figurę do Obór. Niech w nowym domu naszego zakonu choć parę lat pobędzie.

Tak jak zapowiedział przeor, nazajutrz kawalkada kilku wozów wyruszyła spod bydgoskiego karmelu. Prowadził ją sam Łukasz Rudzowski. Gdy wczesnym wieczorem wjeżdżali w granice ziemi dobrzyńskiej, przywitała ich grobowa cisza, wyludnione wioski, smród dymiących stosów, całe zagajniki naprędce stawianych krzyży na ustanowionych gdzie

popadnie cmentarzach. Zgroza wiała z każdej osady, wychudłe, na pół zdziczałe bydłota snuły się po drogach...

Już na obórskich wzgórzach natknęli się na sługę Rudzowskiego, niejakiego Balcera, który jeszcze w Murzynnie pilnował spraw gospodarczych. Stał teraz przed nimi, prezentując oplakany widok, w odartym odzieniu, z obłędem w oczach, kompletnie nie rozumiejąc gdzie i po co ta kawalkada wozów zmierza. Nieco równowagi przywrócił mu widok dziedzica. Klęknął na środku drogi rozkładając ręce

- Panie! Nie jedź tam! Już nie ma jednego zdrowego człowieka. Nie wiem, czy pani Anna jeszcze żyje, bo rano sam pochowałem jej ochmistrzynię, a zaraza rozchodzi się bez zmiłowania i względów.

Rudzowski, któremu pomimo słusznych lat gorąca szlachecka krew jeszcze nie wystygła, wyciągnął pałasz i raz, lekko splazował Balcera po plecach

- Uspokój, że się wasze, bo ci zaraz wasy podgołę! Dokąd mi tu zającem uciekasz, panią, dwór w biedzie ostawiasz?!

Tymczasem karmelici zeszli z wozów. Widząc co się dzieje, ogrodzili sobą biednego sługę. Podnieśli go z kolan, otrzepali z kurzu, a potem ułożyli na wozie.

- Dalej pójdziemy procesją – zdecydował przeor. Jeden z braci wyciągnął ze specjalnego kufra cudowną figurkę Matki Bolesnej z Jezusem i stanął na przedzie, zaś ci z zakonników, którzy mieli święcenia przebrali szaty jak do mszy świętej.

Gdy już byli gotowi, wówczas brat, który z racji niezwykle głośno najczęściej intonował uroczyste pieśni rozpoczął smutną, choć podniosłą - *Miserere mei...*

Przeor gwałtownie podniósł dłoń w górę, przerywając śpiew

- Nie, nie! Nie, bracia, żadnych pogrzebowych psalmów. Zanieśmy w tę okolicę nadzieję, ufność, radość wiary. Niech ten biedny, doświadczony lud wie, że poprzez tę figurę sama Matka go nawiedza. No, może jedną z tych radośniejszych pieśni, którą na Wielkanoc śpiewamy?

I ruszyli powoli, dostojnie, choć śmiało, z jasnym pogodnym obliczem. Gromka pieśń uleciała między obórskie wzgórza, odbiła się o zbocza, zawirowała w dolinach, po czym wróciła stukrotnym echem.

- Głośniej bracie Jonaszu! – pilnował przeor. – A ty waszmość Rudzowski idźże w awangardzie, a nie jak potępieniec na końcu idziesz! Matkę Pana naszego godnie we włości swoje wprowadź!

Wieczór powoli gasił jasność dnia. W umęczonej zarazą okolicy ludzie czuwali przy chorych, chowali zmarłych, oplakiwali los. Zmierzch dnia przynosił z sobą same obawy; czy dożyję do jutra, czy moje dzieci przetrwają, kogo z sąsiadów zabraknie nazajutrz? Zgryzota i beznadzieja... Nic nie jest w stanie nas ocalić...

Wtem, co to?! W upiorną ciszę wdał się jakiś nieznany głos... Śpiew?!... Eeee, a skąd?! ... Zaraz, bądźta cicho!... Śpiew!! No tak! ... Może to bractwo żałobne z Rypina idzie?... Nie, pieśń jest jakaś taka... Wesoła? Wesoła! *Vivat Maryja Regina* – śpiewają. ... Jakże to? Pośród tego morza nieszczęścia, pośród morowego powietrza, pieśni radosne śpiewają? Kto śmie?

Wyszli ludzie przed swoje domy, oderwali dłonie od załzawionych oczu, podniosły matki głowy znad chorych dzieci, mężczyźni przestali kopać groby.

Główną drogą, schodziła w dolinę osobliwa procesja; oto przodem, podpierając się pałaszem szedł sam dziedzic Rudzowski, za nim jakiś zakonnik w nieznanym tu habicie, dzierżący w ręku niewiadomą figurę, po nim kilkunastu innych także zakonnych, z czego niektórzy ubrani jak do mszy, a jeszcze dalej wozy. Nadchodzili z zachodu i ostatnie promienie słońca rozbiły ich kontury, zamieniając je niby w aureolę.

- Anioły idą po nas – przeżegnała się babka Jerzmanka, akuszerka, która przez ostatnie pięćdziesiąt lat wszystkie dzieciaki z najbliższej okolicy pierwsza na tym świecie witała.
- No chyba ni – nie zgodził się kowal. – Anioły tak grubo nie śpiewają, a i co by tam między nimi nasz pan dziedzic robił?

Tymczasem procesja zbliżała się już do zabudowań. Pan Łukasz stanął na chwilę, po czym próbując przekrzyczeć zakonny chór wrzasnął co sił

- Ludzie! Tak jakem obiecał, świątobliwi karmelici zamieszkają w Oborach! Że przyszli w czas morowy, to ich wybór! Chcą być z nami!

Na znak przeora, chór zamilkł.

- Mają też ojcowie cudowną figurkę, którą sobie Pan Bóg szczególnie upodobał. Wielu, co przed nią się modliło doznało łask wszelakich! Tedy godzi się, aby i my robaki niegodne przed nią ukłękli! Proście niech Pan odsunie od nas ten krzyż zarazy!

Gdy skończył, podszedł do brata dźwigającego rzeźbę. Stanął w uroczystej pozie, dotknął figury, a potem na tym kawałku lipowego drewna złożył krótki pocałunek i runął na kolana. Kilkunastu wieśniaków będących świadkami sceny, po chwili wahania spowodowanej zaskoczeniem, także ukłękło. Pochylili biedne głowy, choć nie jeden - tak z ludzkiej ciekawości - zerkał na figurę, jaka ona też jest?

Zobaczyli i pokochali. Maria z rzeźby to była ich matka, żona, córka, siostra, One też wczoraj, dziś rano, w południe trzymały na swoich kolanach martwe dziecko, konającego męża, krewniaka, sąsiada... Znali to cierpienie, wiedzieli co ta Matka Bolesna przeżywa, a skoro tak, byli pewni, że i Ona rozumie ich bardziej niż ktokolwiek na świecie. Tylko Ona mogła im pomóc wyprosić łaskę u Boga. Tylko Ona mogła osuszyć łzy po stracie tyłu bliskich...

Zastygli i trwali, bo w wielu sercach na nowo zaczęła budzić się isierka nadziei, narastało jakieś przedziwne, cudowne uczucie, że od tej chwili nie są sami, że odtąd poddają się w opiekę kogoś znacznie potężniejszego niż skulony w pokorze pan Rudzowski, że może wreszcie poczują dobrą potęgę Boga, o której czasem słyszeli w dalekim kościele. Klęczeli też ci, którym boleść zabrała wszystko co kochali. Otumanieni cierpieniem już nawet nie płakali. Było im wszystko jedno, a skoro sam dziedzic był na kolanach, to widać tak trzeba.

Przeor przez dłuższą chwilę patrzył na te surowe twarze, jakby chciał odgadnąć myśli miotające ludźmi. Położył dłonie na głowie pana Łukasza, potem podszedł do pozostałych. Każdego dotykał kładąc dłonie, a potem czynił znak krzyża.

– Bracia moi, Pan was doświadczył, Pan was pocieszy. Miejcie ufność! Przyszliśmy tu do was, aby zbudować dom boży, świątynię. Sami, bez was tego nie dokonamy. Kto może, niech przyłączy się do tej procesji. Zaniemiemy świętą figurę Matki Bożej Bolesnej i Jej Syna w miejsce, gdzie jutro zaczniemy budowę kościoła. Wstańcie z kolan! Oto radosny dzień wam dziś głoszę. Weźcie też chorych. Jak który nie może iść sam, to połóżcie go na wozie! Bracia, zapalmy świece!

Rzucili się braciszkwie do wozów; jedni po świece, inni aby przygotować je dla chorych, których już wynoszono z pobliskich trzech chałup. Gdy wszystko było gotowe, przeor zwrócił się do pana Łukasza

- Prowadź na miejsce waszmość panie Rudzowski, a wcale nie najkrócej, tylko tak idź abyśmy jak najwięcej obórskich chałup obeszl.

Stary dziedzic skwapliwie spełnił życzenie karmelity. Zatrzymywali się niemal przy każdej chałupie. Coraz to nowi ludzie dołączali do procesji. Nie brakło wśród nich zrozpaczonych matek z konającymi dziećmi na rękach, mężów dźwigających swe na wpół żywe żony, staruszków podtrzymujących się nawzajem, sierot o zapadłych, zgasłych oczach, zdrętwiałych boleścią kobiet.

Jedni drugim przedstawiali powód onego marszu, dodając słowa o cudownej figurze i nadziei, że Bóg może zechce odwrócić nieszczęście.

Gdy o zmroku doszli na szczyt góry Grodzisko, do miejsca, gdzie leżały drewniane bele na budowę kościoła zmęczeni karmelici ustawili rzeźbę na podniesieniu i odprawili pierwszą mszę przy świecach. Przy drugiej, mężczyźni rozpalili wielkie ognisko. Jego blask rozszedł się na daleką okolicę.

Zgnębieni ludzie z odległych osiedli widząc krwawą łunę, wychodzili przed domostwa próbując odgadnąć co i dlaczego się pali. Od kiedy nastał mór, często płonęły ogniska w dolinach, ale na szczycie stromego wzgórza? Nie... Po co ci umęczeni zarazą ludzie mieliby wspinać się na Grodzisko, aby tam rozpalać aż tak wielki ogień? Jeśli to zrobili, musieli mieć do tego nadzwyczajną przyczynę. Trzeba zobaczyć jaką.

Trzecią mszę odprawiano już przy tłumie ludzi. Płomienie oświetlały plac, nad którym górowała Cudowna Figura. Przecie w ciżbie ludzkiej nie było widać oprawiającego mszę karmelity, więc wszystkie oczy wpatrzone były w ten jeden punkt, w rzeźbę Matki Boskiej Bolesnej. Szeptano, że może sam Pan Bóg przez Nią przemówi, ale póki co nic takiego się nie zapowiadało.

Coraz więcej ludzi schodziło ze wzgórz, budzili sąsiadów, nawoływali się głośno, niektórzy podtrzymywali słabych, chorych, starych. Już nikt nie dbał, że zaraza. Gdzieś umknęła bojaźń. Szli, potykając się w ciemnościach w kierunku wskazanym przez wielkie światło, zupełnie jak ci pasterze, za gwiazdą tysiąc sześćset lat temu...

Świtało już, gdy kończono ostatnią mszę tej niezwyklej nocy, lecz o dziwo, niemal nikt nie był zmęczony, zaś ludzi opanował modlitewny zapach. Choć karmelici porwani ogólną gorliwością ani myśleli schodzić z placu, a kolejny kapłan sposobił się do odprawienia mszy, to przeor przecie widział, że już jej nie oprawią śpiewem, bo całkiem głośno zdarli. Kazał postawić się na wozie, tak, aby jak najwięcej ludzi mogło go zobaczyć i usłyszeć, po czym zawołał

- Bracia! Ludu dobrzyński! Bóg wam zapłać za to zgromadzenie! Teraz idźcie WSZYSCY do swoich domów!

Ci którzy widząc, że starego przeora stawiają na wozie, szukali sobie wygodnego siedziska dla wysłuchania spodziewanej mowy, zawiedli się nieco. Jak to? Wszystko co wydarzyło się tej nocy ma zakończyć kilka słów? Jeszcze ich nie rozumieli.

Pojęli je dopiero, gdy spostrzegli, że faktycznie z Grodziska schodzą WSZYSCY, a więc również ci, których tam wniesiono! Wczoraj zarazeni, niektórzy wręcz umierający - rankiem bez śladu choroby, w pełni sił! Morowe powietrze ustąpiło, wszyscy ozdrowieli. Był rok 1605.

Potem aż osiemdziesięciu świadków dało świadectwo tego cudu przed kronikarzem karmelitów.

Ponad sto lat później, w 1708 roku Obórska Pani nie tylko nie dozwoliła aby ktokolwiek z mieszkańców Obór zmarł w czasie zarazy ale nawet nie dopuściła do tego aby ktokolwiek



zachorował i to jak kronikarz zanotował „*pomimo, iż z ludźmi z okolic, tą straszną chorobą dotkniętych, przestawali*”.

Lecz to jeszcze nie koniec prologu, bo latem 1605 roku, zaraz po tak znamienym wejściu Piety i karmelitów do Obór błyskawicznie postawiono z drewna kościół i klasztor. Trzy lata później przyszło z Rzymu potwierdzenie fundacji Rudzowskich przez papieża Pawła V, a cztery lata po tym, pogodzony z Bogiem i ludźmi spokojnie odszedł z tego świata pan Łukasz Rudzowski.

Jeszcze tego samego 1612 r spłonął pierwszy kościół. To wydarzenie tylko wzmocniło wdowę po dziedzicu w przekonaniu, że karmelitów trzeba otoczyć jeszcze większą opieką, tym bardziej, że wzrastał kult oborskiej Piety i były już świadectwa pierwszych cudów.

W 1617 roku, pani Anna zawarła z zakonnikami nową umowę, na mocy której za odbudowanie kościoła i klasztoru mieli dostać dodatkowo połowę dóbr Obory, z tego co zostało jej po mężu. Obydwa obiekty postawili w ciągu jednego roku, ale nowe zmartwienie spadło na mieszkańców szerokiej okolicy.

Oto bydgoski przełożony wezwał część karmelitów do powrotu. Najgorsze, że nakazał im wrócić wraz ze słynącą łaskami figurą!

Ta ostatnia wieść wzburzyła ludzi. Jak to? Chcą nam zabrać naszą Panią? Mało mają w tej Bydgoszczy rozmaitych relikwii, obrazów? Kochamy Ją, przed Nią składamy najskrytsze nawet pragnienia, modlitwy, prośby, podziękowania. Kto nas będzie chronił? Przez naszą Matkę Bolesną już tyle razy nam Pan Bóg błogosławił! Nasza ci Ona, nie damy jej nikomu, a niechby i biskup przyjechał!

Tak, czy podobnie sobie tłumacząc, zebrali się ludzie przed kościołem na szczycie wzgórza, gotowi nawet własnymi ciałami zaważyć drogę, byle figura została w Oborach.

Ze szczytu niewielkiej wieżyczki kościoła patrzył na to zgromadzenie najstarszy z oborskich karmelitów. Wielkie łzy wzruszenia napływały mu do oczu, bo rozumiał, że to nie żadne warcholstwo pchnęło tych spokojnych ludzi do takiego tumultu. Nie było jednak rady, zakonnik jest obowiązany do posłuszeństwa. Uspokoiwszy się nieco zszedł do tłumu i przemówił

- Wiem jak wielka troska was tu przywiodła, Wiem, że pokochaliście ten wizerunek Matki Bolesci! Lecz cóż, gdy musi wrócić tam skąd był wzięty, gdzie jego prawowite przebywanie, do bydgoskiego klasztoru. Widać w Bydgoszczy też do naszej Pani tęsknią, a przecie pierwiej tam była. Tak bracia i siostry, rzeźba wróci, lecz Pan Jezus, Matka Boska przecie was nie opuszczają! Toć tego jako chrześcijanom chyba nie muszę wam tłumaczyć? Tedy miast niemądre tumulty czynić, lepiej popatrzcie na Nią jeszcze raz, w pamięci zapiszcie, powiecie kiedy dzieciom, że Taka tu była! ... Inna rzecz, że przecie nie między Tatary Ją dajem, a w Rzeczpospolitej zostaje, u sąsiadów na Kujawach! Imaginujecie jaką to piękną pielgrzymkę możemy odbyć dla jej nawiedzenia?!

Powiedział też jeszcze parę innych mądrych słów, po czym, choć serce go bolało, wszedł do świątyni, zdjął Pietę z postumentu i wśród łez kobiet, zatroskanych min mężczyzn, zaniósł Ją na specjalny wóz. Sam też na niego wstąpił. Spojrzał na zapłakany, smutny tłum. Choć w gardle dławilo go wzruszenie, zawołał potężnie

– Bracia! Takoz naszej Pani dziękujecie za łaski, za opiekę?! Pogrzeb to jaki, czy co?! Odprowadźmy Ją ze śpiewem!

Tak się stało. Biedni, zmartwieni mieszkańcy Obór i okolic, ze śpiewem pieśni kościelnych odprowadzili figurę oraz kilku karmelitów daleko, aż za granicę ziemi dobrzyńskiej.

Choć ludzie pocieszali się jak mogli, cały dzień był smutny, zaś wieczór jeszcze gorszy. Świadomość, że w kościele na wzgórzu nie ma już cudownej Piety ciążyła tak, jakby ktoś najbliższy odszedł.

Tymczasem, po zmroku, w bydgoskim karmelu rozpoczęła się uroczysta msza święta z okazji powrotu cudownej figury. Wprowadzano ją w blasku świec...

Wczesnym rankiem potężny głos rozszalałego świątynnego dzwonu obudził wszystkich mieszkańców okolic Obór. Musiało wydarzyć się coś niezwykłego, bo kulawy Mateusz-dzwonnik z przyzwolenia karmelitów, nigdy tak nie szarpał dzwonem. Kto żyw zakładał odzienie, po czym ruszał biegiem w kierunku kościoła.

Ludzie już po drodze spostrzegli z ulgą, że nic się wokół nie pali. Gdy pierwsi z nich dopadli dzwonnicy, spostrzegli zdziwieni, że Mateusz wciąż targał liną dzwonu, a głębę miał tak radosną jakby znalazł czapkę pełną złotych guzów.

Wreszcie któryś z nich nie wytrzymał i niemal siłą oderwał kuternogę od szalonej – zdawało się – roboty

- A co ty tu niedojdo za larum urządzasz?! Opileś się czego, czy co?!
- O Jezusku! A gdzie tam! – Wrzeszczał radośnie Mateusz. – Toć godzi się, bo wróciła Matula nasza!
- Kto, jaka matula? Gdzie wróciła? – dopytywali się rozgorączkowani, zaskoczeni ludzie.
- No jak gdzie? – Kuternoga zrobił wielkie oczy. – No do nas, do kościoła! A idźta tam, to sami zobaczyta! Otwieram przed jutrznią kościół, a Ona tam jest! – Wycelował paluchem na Dom Boży.

Rzucili się ludzie w otwarte drzwi świątyni, patrzą, a na cokoliku stoi jakby nigdy nic Matka Bolesna pochylona nad zdjętym z Krzyża i złożonym na Jej kolanach Ciałem Syna. Tę rzeźbę poznaliby wśród miliona innych, to była ich Figura!

Z pobliskiego klasztoru wybiegli braciszkanie karmelici. Byli właśnie po porannych modlitwach. Słyszeli dzwon, ale modlitwa, to modlitwa, lecz teraz biegli co sił sprawdzić co się dzieje. Zobaczyli i pobledli z wrażenia. Madonna wróciła!

Wieść rozniosła się lotem błyskawicy, wywołując niesamowitą radość ludu. Przybywali z najdalszych stron ziemi dobrzyńskiej, aby na własne oczy zobaczyć ten jawny cud. Śpiewali, cieszyli się, modlili...

Aż tu po kilku dniach, koło południa przed kościół zajechał ciężki wóz i wysiały z niego jakieś dwie duchowne osoby, dzierżąc w ręku opieczętowane pismo. Okazali je gwardianowi karmelitów, zaś ten na sam widok pieczęci pochylił głowę. Potem weszli do kościoła i wynieśli stamtąd Pietę. Zanim ze wsi zbiegli się ludzie, odjechali traktem na Bydgoszcz, gdzie przygotowywano tamtejszą świątynię na ponowne przyjęcie Cudownej Figury Matki Bolesnej i jej Syna....

W Oborach znów nastał smutny dzień i smutna noc. Za to ranek...

Kulawy Mateusz z całych sił szarpał liną dzwonu, przy tym tak radośnie, a niemiłosiernie drąc głębę, że zaspane ptaki przyzwyczajone do głosu dzwonu, ale nie do porannego jazgotu o mało nie pospadały ze swych gniazd.

- Ludzie! Ludzieeee! Pani nasza wróciła! Ha, ha, ha! Pani jest z nami! Ludzieeee! Ha, ha, ha! Wróciła! O Jezusku Miłosierny!

Tym razem braciszkanie nie zdzierżyli do końca modlitw, tylko wybiegli furkoczając habitami. Wpadali do kościoła, trzępiąc oczami z niedowierzaniem, lecz radosny obraz nie

zniknął - na cokoliku stała niewzruszenie rzeźba Pani tej świątyni Matki Boskiej Bolesnej! Zaraz też uklękli do modlitwy dziękczynnej. Za nimi czynili to samo przybywający ludzie.

Gdy trzy dni później na głównej drodze wsi znów pojawił się znajomy ciężki wóz z duchownymi, ludzie zeszli się czujnie u stóp kościelnego wzgórza, ale tym razem całkiem spokojnie czekali na przebieg wypadków.

- Zabierają naszą figurę – ktoś stwierdził.
- Jużci – dodał inny. – Na wóz pakują, widać znów do onej Bydgoszczy zawiozą.
- I niech. Kto im tam będzie bronił – skwitował następny. – Trzeba tylko Mateusza upilnować coby cokolik wyczyścił, a baby niech kościół zamiotą, bo jutro znów okurzą Figurkę...

Lecz Mateusza wcale nie trzeba było pilnować, bo sam wiedział co ma robić. Zabrali Figurę do Bydgoszczy? Dobrze, trzeba wyczyścić cokolik, bo rano tu będzie. I... była! Tak działo się kilka razy!

Kronikarz zakonny tak wdzięcznie ujął powyższe wypadki: *"Powtórnie zabrali ją zakonnicy bydgoscy do Bydgoszczy i tam z wielką uwagą i nabożeństwem, przy licznych świetle od zakonników była pilnowana (...), figurka ta bez ludzkiej pomocy przeniosła się do Obór...."*

W końcu przełożeni bydgoskiego karmelu pogodzili się z faktem, że Pieta zostanie w Oborach. Otoczona powszechną czcią i szacunkiem znajduje się tam do dziś.

Przez wieki pochyliło się przed Nią miliony głów, miliony ust wyszeptwały modlitwy, otworzyło się na wiarę wiele serc. Tu przesiąkła prośbami, tu odbiło się o Nią echo każdej kropli łzy i tu w 1627 r. chorąży z ziemi chełmińskiej zdrowie odzyskał i kule *"na znak dobrodziejstwa zostawił"*, tu siedem lat po tym dziecko niewidome od urodzenia jej matka *„dobre i zupełnie widzące odebrała"*, tu w 2002 roku ozdrowiała nieuleczalnie chora kobieta... Wiele zapisów, wiele wspomnień...

Setki lat, setki rozdanych łask, uzdrowień, ciała, ale i duszy, cudów, niezwykłych zdarzeń, porywów serca, religijnej ekstazy, modlitewnych zapomnień, patriotycznych, polskich uniesień... Są po nich pamiątki na ścianach kościoła, w klasztorze, ale o wielu pewnie nie dowiemy się nigdy. O nich wie tylko Obórska Pani...

## Ostrowite

# O GARNAKACH „SZWEDKACH” Z OSTROWICKIEGO JEZIORA

**D**awno temu, w latach 30 ubiegłego wieku, gdy etnograf Władysław Łęga wędrował po naszej okolicy, dostrzegł w jednym z gospodarskich obejść wsi Ostrowite dziwne naczynie. Był to spory, dość gruby kocioł metalowy z czterema uchwytnymi na haki, jakby żywcem wyjęty ze starych sztychów, przedstawiających obóz wojskowy, podczas pory warzenia posiłków.

Przedmiot bardzo zainteresował etnografa, toteż zapytał skąd gospodarz ma takie cudacznie naczynie, zaś ten odparł, że ... wyłowił z pobliskiego jeziora Oszczywilk, podobnie zresztą jak kilka innych mniej pożytecznych „klamotów”, wśród których był też kawałek szabli. Przy okazji chłop „zadenuncjował” też sąsiadów, oświadczając, iż niemal wszyscy we wsi mają rozmaite, nieraz zastanawiające przedmioty wydobyte z głębin jeziora, albo po burzach znalezione na jego pobrzeżu.

Rzeczywiście, gdy tylko Władysław Łęga odwiedził kilka innych gospodarstw miał się ponoć przekonać, że wśród gospodarskich rupieci, a czasem rzeczy ozdobnych trzymany przez ostrowieckich rolników „na kredensie”, sporo było przedmiotów dziwnego wyglądu i proveniencji.

Dopiero wieczorem, podczas chłopskiej kolacji u miejscowego sołtysa usłyszał „wytłumaczenie” tej zagadki. Legendę, która przetrwała kilka wieków natychmiast spisał, zaś ja przytaczam ją z niewielkimi zmianami.

To było w czasie szwedzkiego „potopu”. Obce wojska panoszyły się tu bezlitośnie, rekwirując rolnikom wszystko co tylko zdołali zebrać, lub wyhodować. Co jakiś czas wybierali się na łupieskie wyprawy w pobliskie okolice i nie szczędzili ani szlacheckich dworów, ani nawet kościołów. Wszystko, co tylko miało jakąś wartość zabierali z sobą, a potem znosili w miejsce zwane „Szwedzki Szaniec”. Był to ich warowny obóz, otoczony ziemnym wałem, do którego nikt z Polaków nie miał dostępu.

Aż tu pewnego zimowego dnia gruchnęła wieść, że nadciąga potężna armia polskiego króla. Szwedów niewielu było wtedy we wsi, gdyż większość rozproszyła się na zimowe leża w gospodarstwach od Golubia po Kowalewo. Ci, którzy pilnowali „Szańca” postanowili załadować na kilkanaście sań ich cały złodziejski dobytek i póki co, omijając główne szlaki wycofać się przez jezioro do wielkich, naddręcznych lasów.

Gdy długa kolumna ciężkich sań znalazła się na środku zamrożonego jeziora, pod jednymi z nich pękł lód, a przestraszone konie zaczęły bić kopytami na prawo i lewo, chcąc wydostać się z pułapki. Jednak nic z tego nie wyszło. Ba! Gorzej! Pozostałe konie z innych zaprzęgów, przerażone szamotaniną, trwożnym rzeniem pobratymców same wpadły w panikę. Przestały słuchać i reagować na przewodników, zerwały się do szalonego galopu, zaczęły wpadać na siebie, rwać uprzęż, rozbijać zaprzęgi, tłuc o lód... Wtem wielka rysa poszła przez taflę, a potem lodowe wrota jeziora w kilkudziesięciu miejscach rozwarły się szeroko i przez nie błękitna czeluszka połknęła całą szwedzką wyprawę: ludzi, konie, wozy, kuchnie polowe, armaty, wyposażenie, zrabowane skarby...

Czasem jeszcze dziś rybacy wyciągają z sieci kawałki rozmaitych przedmiotów po szwedzkich żołdakach. „*Takie stare rzeczy, na przykład grapy do gotowania, tutejsi ludzie nazywają „Szwedkami”.*”

## Ciechocin

### HERB STAREGO BISKUPA

**N**a facjacie ciechocińskiego dworu jest umieszczony rokokowy kartusz z herbem Jelita. Posługiwał się nim biskup płocki i wrocławski Antoni Sebastian Dembowski, człowiek, który w 1756 roku przebudował starą siedzibę biskupów kujawskich, czyniąc z niej dość wygodny, nowoczesny jak na ówczesne czasy dwór.

Ciekawe, że ten nieprzejednany wróg szerzącej się wtedy wśród elit masonerii, księdzem został dopiero w wieku 53 lat, po śmierci swojej żony Salomei z Rupniewskich. To nie jedyny, dość niezwykły moment w życiu fundatora ciechocińskiego dworu.

Urodził się 1 lutego 1682 roku w Zambrowie. Jego ojciec Stefan Florian pełnił sporo rozmaitych urzędów (kawaler orderu Orła Białego), między innymi asesora sądów królewskich, starosty płockiego, starosty tymbarskiego, był członkiem Sejmu Wielkiego, zaś matka Ewa, pochodząca ze starego rodu Tarło (urodzona w miejscowości, której nazwy nie wypowie prawidłowo żaden Niemiec – ze Szczekarzowic) herbu Topór, w całości poświęciła się katolickiemu wychowaniu dzieci, co miało dać spektakularny efekt w przyszłości, gdy jej pierworodny syn Mikołaj został biskupem kamienieckim, średni- Antoni Sebastian biskupem płockim i wrocławskim, a najmłodszy Jan biskupem sufraganiem wrocławskim.

Jednak na razie, Antoni Sebastian, po wyszumieniu się w działalności politycznej, objęciu po kolei pomniejszych urzędów, w wieku 43 lat (1725 r) poślubił Salomeę Zuzannę Rupniewską herbu Śreniawa z którą miał troje dzieci (córka Kundgunda i dwaj synowie: Bruno- zmarł po roku i Stefan, który potem był posłem, szambelanem, asesorem sądów królewskich).

Postępując, zawsze dość ślepo wspierał politykę dynastii saskiej, która, jak wiadomo niekoniecznie była dobra dla Polski.

Gdy w 1729 roku zmarła mu żona (mająca zaledwie 20 lat!), postanowił zostać ... księdzem. Zrezygnował z piastowanych urzędów i zabezpieczywszy dzieci ruszył do szkół w Płocku i Warszawie. Wiadomo, że jakiś czas przebywał na dworze mądrego, pobożnego, oddanego Polsce biskupa warmińskiego, płockiego, kijowskiego, kanclerza wielkiego koronnego Andrzeja Chryzostoma Załuskiego. Być może, że to właśnie on zaszczepił mu pasję tępienia (słowem) masonów, a także zamiłowanie do szerzenia kultu Męki Pańskiej.

W 1735 roku, mając 53 lata dostał święcenia kapłańskie, ale za to już dwa lata później 6 maja 1737 roku został biskupem płockim, potem wrocławskim (18 grudnia 1752).

Wkrótce pojawił się nad Drwęcą w Ciechocinie, a widząc, że stara siedziba biskupów jest w nie najlepszym stanie, nakazał całkowicie ją przebudować, zaś przy okazji pozwolił sobie na odrobinę próżności wydając polecenie umieszczenia ozdobnego kartusza z rodzinnym (a nie biskupim) herbem Jelita, który pozostał do dziś.

Dokładna data śmierci biskupa Antoniego Sebastiana Dembowskiego jest sporna, ponieważ różne źródła różnie podają : 1 września 1763, lub 22 września 1763. Zgoda jest co do roku, miesiąca i miejsca – Będków. Miał 81 lat, został pochowany w katedrze wrocławskiej.

Patrząc na ciechociński dwór warto czasem wspomnieć tę oryginalną postać.

## PIĄTKOWO I PLUSKOWEŚY O NATALISIE, PAŁACU I DUCHU WINCENTEGO

**G**dyby na północny wschód od Kowalewa wyprowadzić linię prostą, to w odległości około 6,5 km znajdziemy dawny folwark i wieś Piątkowo. Stoi tu też piękny ceglany pałac wybudowany w latach 1850-1852, w stylu angielskiego neogotyku, według projektu ówczesnie popularnego architekta Aleksandra Galle dla Natalisa Sulerzyskiego herbu Junosza.

Piątkowo, po raz pierwszy w znanych dziś dokumencie historycznym występuje w roku 1409. Dowiadujemy się z niego, że na majątku Pentkaw rządzi rycerz Stefan von Pentkaw – właśnie. Nie wiemy kto i czy w ogóle ktoś tu był wcześniej. Za to wiemy, iż po rycerzu Stefanie, na skutek niszczącej wojny polsko – krzyżackiej, która zmiotła ewentualne zabudowania, kilka lat nie było tu nikogo.

Następne średniowieczne dokumenty przekazują, że od 1417 roku, na tym kawałku ziemi podległej administracyjnie komturowi Kowalewa osiadł Andrzej Koytschen. Trudno dziś powiedzieć na ile to właśnie jego praca spowodowała, że w 1423 roku, majątek zajmował powierzchnię ponad 500 hektarów, w każdym razie od tamtego czasu nastąpiły dla niego dobre czasy, bo kolejni gospodarze na ogół dobrze o niego dbali.

W 1526 roku król Zygmunt Stary nadał Piątkowo Stanisławowi Rychnowskiemu, a 40 lat później historia mówi o trzech braciach: Andrzeju, Szymonie i Walerianie, którzy współrządzając dobrami przyjęli zgodnie nazwisko Piątkowski. W drugiej połowie XVII wieku przeszedł na Konstantego Hornowskiego, a tuż przed rozbiorami Piątkowo znów miało więcej niż jednego właściciela, mianowicie najpierw Aleksandra Pawłowskiego i Jana Łukowskiego (w którego rękach było też Dylewo), a potem należało do braci Andrzeja i Wincentego Pawłowskich.

W tym czasie, w Karczewie, w starym dworcu słomą krytym mieszkał sobie szczęśliwy właściciel tej wsi imię pan Franciszek Sulerzyski herbu Junosza. Nosił się „z polska”, a choć fantazji nie miał zbyt wiele, to jednak korzyść była z tego taka, że grosza nie tracił bezmyślnie, co u innych bywało. Miał ci pan Franciszek syna Wincentego, który na dorodnego kawalera wyrósł i wysoko zerkał. Około 1788 roku ruszył w konkury do panny Anny Mieroszewskiej, jedynaczki, córki jednego z bogatszych ziemian chełmińskich, pana na Zjączkowie.

Mało kto dawał jakkolwiek szansę Wincentemu, ale ten, jak twierdziłem wcześniej-dorodny, urodziwy młodzieniec -wpadł w oko pannie Ani i to tak, że o innych pretendencjach, choć bogatszych, nawet słuchać nie chciała.

Pan Mieroszewski pozbył się kłopotu, uznając, że to „babska sprawa”, bo z jednej strony chwacki chłopak też mu się podobał, a wiedział, że ojcowski majątek pozwala jedynaczkę godnie zabezpieczyć, zaś z drugiej, pani żona była kobietą nad wyraz energiczną i nie chciał jej podpaść jakimiś nachalnymi zabiegami na rzecz Wincentego. Coś tam jednak robił, bo w końcu na słomiany dwór Sulerzyskich przyszło zaproszenie do kurtuazyjnych odwiedzin. Pani Mieroszevska obejrzała sobie dokładnie obydwu i o ile co do młodzieńca uwag nie było to panu Franciszkowi trzeba było „wąsy ogolić i kapotę zrzucić” (wg. „Pamiętnika” N.S.), zaś potem kupić majątek na synowskie wiano.



Traf chciał, że bracia Pawłowscy ogłosili chęć sprzedaży Piątkowa. Sulerzyscy kupili go w dwóch ratach; najpierw część należącą do Andrzeja Pawłowskiego (1788), a rok później do Wincentego. Wieś miała wówczas 10 zagrod.

Szybko wzniesiono w niej drewniany dwór, do którego wkrótce Wincenty wniósł swą młodą żonę Annę *de domo* Mieroszewską. Ta zorientowawszy się w stanie majątku Sulerzyskich natychmiast zauważyła, że mają oni nieuregulowaną sprawę spadkową po teściowej- także Annie z domu Szeliskiej. Chodziło o dobra Zegartowice. Pół roku później włączono je do piątkowskiego skarbu.

W 1801 roku małżonkowie kupili pobliskie Dylewo, wraz z przysiółkiem Poddylewo co znacznie rozszerzyło rodzinne dobra. Lecz tego roku Pan Bóg uraczył Sulerzyskich jeszcze jednym – bez porównania radośniejszym – wydarzeniem, a mianowicie 28 września przyszedł na świat ich trzeci syn (po Atanazym i Heliodorze), którego ochrzczili imieniem Natalis.

Jego postać, w ogólnym zyciorysie jest dość znana (choc na pewno nie powszechnie, czego szkoda, bo zasługuje na to), toteż wypada jedynie przypomnieć, że był absolwentem uniwersytetu w Heidelbergu, skąd powrócił w rodzinne strony, by tu zajęć się krzewieniem oświaty, idei narodowej, propagować ekonomię gospodarczą. Gdy zaszła potrzeba, to nie tylko słowem wspierał powstańców styczniowych, lecz również organizował zbiórki pieniędzy, transporty broni, a nawet prowadził bezpośredni werbunek do oddziałów powstańczych. Jednocześnie nigdy nie zapomniał o swoim gospodarstwie, prowadząc bardzo nowoczesne metody upraw, inwestując, rozwijając je. Wkrótce dysponował olbrzymim arealem obejmującym wsie: Dylewo, Karczewo, Poddylewo, Małe Pułkowo, Radowiska, Świerczyny, Zegartowice. W szczytowym okresie klucz majątkowy Piątkowo miał niemal trzy i pół tysiąca hektarów ziemi!

Skąd u młodego intelektualisty takie zamiłowanie do gospodarki? Wszak w Heidelbergu zgłębiał administrację, nie rolnictwo. Gdy po studiach (i pobycie „u wód” w Wiesbaden oraz Frantiskowych Laznach, gdzie ratował nadwątlone zdrowie) wrócił do domu, jego ojciec i brat Heliodor od pewnego czasu spoczywali już na cmentarzu. Gospodarstwem zarządzała wdowa, co widząc Natalis natychmiast wpuścił się w wir prac. To pewnie spowodowało, że szybko przeszła mu ochota na karierę pruskiego urzędnika.

Matka widząc z jaką werwą podchodzi do spraw rolnictwa oddała mu w zarząd mocno zapuszczony majątek Mierzynek (w ziemi lubawskiej), który właśnie wpadł do rodzinnego skarbcza jako spadek po zmarłej babce Mieroszewskiej. Tu przeszedł Natalis swoisty „chrzest rolniczy”. Wszystkiego uczył się szybko, chętnie, bez uprzedzeń i przesądów. Wykorzystał rady sąsiadów, przeczytał wszystkie dostępne podręczniki agronomiczne, sam eksperymentował, zaś chłopów pracujących na jego majątku traktował jak pracowników najemnych, co na tle epoki było istną rewolucją (powszechny był system uzależniający wieś od dworu).

Gdy w 1834 roku objął na stałe cały majątek piątkowski (po śmierci brata Atanazego), doświadczenia z Mierzynka zaczęły wysoko procentować. Sam pisał o tym w swoich „Pamiętnikach”. Przekonał się, iż najważniejszym ogniwem jego gospodarstwa są ludzie- lojalni, oddani pracownicy. Nic zatem dziwnego, że dbał o nich (jedyne czego absolutnie nie tolerował to były kradzieże, za które wyrzucał natychmiast i nieodwołalnie) wyjątkowo. Sprowadził nawet z Warszawy architekta Aleksandra Gallego, któremu zlecił wykonanie projektów solidnych murowanych domów dla rodzin swoich pracowników. Wzniesiono je, a kilka przetrwało w Piątkowie do dziś. Jednak do wybudowania tego najokazalszego poprzedziły goła niezwykle okoliczności.

Czerwiec roku 1848 był wyjątkowo gorący i obfitował w osobliwe zjawiska atmosferyczne, takie jak przychodzące nagle gwałtowne burze, czy zrywające się potężne poddmuchy wiatru. Aż tu któregoś słonecznego dnia drugiej dekady miesiąca, olbrzymie ciemne chmury stłumiły jasność dnia, po czym tuż nad piątkowskim dworem rozpętało się prawdziwe piekło. W ciągu pół godziny nawałnica dosłownie rozniosła domostwo, a gdy wszystko ucichło „ledwo gdzie

jakiś zrab sterczał”. Co bardziej przesądni przypomnieli sobie wówczas o nieboszczyku Wincentym, którego stugębna plotka posądzała o libertynizm, ba nawet o przynależność do masonerii. Przy całej sympatii dla starego Sulerzyskiego, w zniszczeniu przez niebiosa dworu wzniesionego niemal jego rękami dopatrywano się znaku bożego, tym bardziej, że wichura wyrwała nawet drzewa, które podobno osobiście posadził przed domem.

Dla Natalisa też był to znak, tyle, że zupełnie innego rodzaju, mianowicie uznał, że czas wreszcie na wzniesienie siedziby godnej jego sukcesów gospodarczo- finansowych.

Warszawski architekt Aleksander Galle wykonał stosowny projekt. Pałac, zamek niemal, utrzymał w bardzo wówczas modnym stylu angielskiego neogotyku, o fasadach z czerwonej, licowej cegły, na wysokich suterynach, z czterema wieżami schodnymi. Nad głównym wejściem zaplanował ozdobny szczyt, nadający budowli elegancji, podkreślającej styl. Pomyślano też o otoczeniu w postaci przemyślnie ułożonego parku dworskiego z którego do dzisiejszych czasów przetrwało aż osiemnaście gatunków drzew i pomnikowe skupiska dębów szypułkowych oraz jesionu wyniosłego.

Pomimo uśmiechów fortuny Natalis Sulerzyski nie był szczęśliwym człowiekiem. Są historycy, którzy uważają, iż jego nadzwyczajna aktywność na rozmaitych polach wynika z próby ucieczki od rzeczywistości. To całkiem możliwe, a nawet zrozumiałe, gdy zerkniemy na jego życie osobiste.

Ożenił się dość późno, bo dopiero mając 36 lat. Jego żona Izabela z Czapskich urodziła mu córkę, która zmarła, zaś krótko po niej odeszła także Izabela (grudzień 1837). Trzy lata później dziedzic Piątkowa pojął Leonardę z Wybickich. Miał z nią sześcioro dzieci, z których „do lat” doszło tylko dwoje- syn Wacław (później gospodarz na Małym Pułkowie, a dalej Szydłowie) i córka Helena (przyszła żona Michała Wybickiego). 14 maja 1860 roku zmarła Leonarda. Natalis znów został sam. Z dwóch żon i siedmiorga dzieci los zostawił mu tylko dwoje, a i ci poszli w swoje życie, zostawiając go w wielkim pałacu, z coraz bardziej szwankującym zdrowiem... Najwidoczniej, pod koniec życia przestał lubić to miejsce, w które włożył pracę swojego życia. Gdy w 1867 roku Klotylda Działowska *de domo* hrabianka Sierakowska zaproponowała mu 185 tysięcy talarów za majątek Piątkowo i Dylewo, nie zastanawiał się długo.

Pani Klotylda kupiła wówczas ponad 925 hektarów ziemi, z czego 768 ha było gruntów ornych. W Piątkowie mieszkało wtedy 243 mieszkańców, wyłącznie Polaków- katolików, co znaczy tylko tyle, iż Sulerzyski w praktyce stosował zasadę solidaryzmu narodowego.

15 lat później właścicielką Piątkowa została inna kobieta, mianowicie Łucja Katarzyna Antonina Gajewska *de domo* Działowska. Sulerzyski już tego nie doczekał, ponieważ zmarł w roku 1878 i jego ciało od niemal czterech lat spoczywało na cmentarzu w Pluskowężach.

W 1895r majątek stał się wianem Marii Potockiej z domu Gajewskiej (1875- 1927) żony Oswalda hrabiego Potockiego (1866-1920). W spadku po Potockiej dobra przypadły Ludwice Iwanowskiej z Gajewskich, żonie pułkownika Tadeusza Iwanowskiego, z którym miała córkę Felicję.

To właściwie koniec dobrych i w miarę dobrych wieści. Pewnego październikowego wieczoru 1939 r Niemcy wyrzucili wszystkich z pałacu... Niemal 6 lat później, w 1945 roku pijanym bojcom Armii Czerwonej przyszła do łbów fantazja spalić księgozbiór... Potem, na długie lata pałac stał się biurowcem PGR-u... No, taka nasza historia...

### **Ale, ale! Miało być o duchu Wincentego.**

....Skoro tak, to będzie.

Czytając „Pamiętniki” Natalisa Sulerzyskiego znajdujemy tam obraz jego ojca Wincentego jako człowieka spokojnego, ba, flegmatycznego, ale pogodnie flegmatycznego, zatem bardzo sympatycznego, obdarzonego w sumie uroczym, bo stereotypowo polskim konserwatyzmem, nawet w sposobie ubioru.



Wygląda jednak na to, że imię Natalis nie powiedział nam wszystkiego, gdyż do dziś wśród najstarszych mieszkańców okolic Piątkowa krąży dziedziczona przez pokolenia legenda (a może najszczerza prawda), że Wincenty nie był zbyt gorliwym katolikiem, a nawet gorzej – był podobno libertynem i - już zupełna katastrofa, zgroza – masonem!

Ile prawdy w tych wieściach? Ciężko to ocenić w sposób właściwy dla historycznych faktów, bo „twardych dowodów” nie ma. O ewentualnym archiwum Sulerzyskich nic nie wiadomo, a akta parafialne (kościół w Pluskowęsach), gdzie mogła by być jakaś interesująca nas wzmianka (np. przy okazji pogrzebu) zabrali Niemcy i po wojnie wróciły jedynie ich strzępy.

Aliści coś musiało być na rzeczy, skoro gminna powiastka, z rzadko spotykaną siłą twierdzi, że gdy po śmierci pochowano „starego pana” w grobowcu pod posadzką kościoła parafialnego, po prawej stronie prezbiterium, to w okolicy oraz samym kościele wkrótce zaczęły dziać się dziwne, czasem wręcz przerażające sprawy. Wieczorami widywano zjawę spacerującą po drodze do Piątkowa, tuż przed mszą gasły zapalone wcześniej świece, a po jej zakończeniu – bez powodu - łamały się z trzaskiem. Często, podczas wieczornego pacierza słyszano kroki, jakby ktoś stąpał po posadzce świątyni. Coraz mniej było śmiałków, którzy by mieli tyle odwagi, aby po zmroku przejechać bryczką, czy wozem koło kościoła... Nawet jeśli się znaleźli tacy desperaci, to i tak mało komu wyczyn się udawał, bo konie w tym miejscu dostawały szału i albo stawały jak wryte, albo wpadały w taki popłoch, że często łamiąc dyszle zawracały szalonym galopem, tocząc pianę, tratując wszystko na drodze. Tylko koty przechodziły śmiało, siejąc ślepiami paskudne błyski...

Wreszcie któryś z proboszczów postanowił położyć temu kres. Wybrał najbardziej radykalny sposób, a mianowicie razem z kościelnym wydobyli trumnę Wincentego spod posadzki, zawieźli wozem do dylewskiego lasu i tam pochowali przy rozstajnych drogach (co do dokładnego miejsca nie ma zgody, choć lokalna tradycja wskazuje malutki, ogrodzony placyk z krzyżem przy szosie brodnickiej.

Chyba pomogło... Chyba, bo z duchami – jak powszechnie wiadomo - nigdy nie ma pewności...

## Kowalewo, Pluskowęsy

### O TYM JAK MATKA BOSKA Z DZIECIĄTKIEM I ŚW. PIOTR ZAMIESZKALI W MAŁYCH KOŚCIOŁACH

(i dlaczego św. Piotra teraz tam nie ma)

**D**wie rzeźby, których historie chcę opisać łączy to, że obie, choć piękne, wciąż pozostają stosunkowo mało znane, obie są skarbami nawet w potocznym rozumieniu tego słowa (należą do najcenniejszych obiektów mikroregionu czterech gmin), obie mają średniowieczne pochodzenie, obie przebywały w kościołach znajdujących się na terenie jednej gminy (dosłownie kilka kilometrów od siebie), co do obydwu tak naprawdę i na pewno trudno ustalić drogę do naszych świątyń.

Co je różni? Obie, choć średniowiecznej proweniencji znacznie różnią się stylem, oraz poziomem artyzmu, każda z nich przedstawia inne osoby, o jednej wiemy z czyjego wyszła warsztatu, o drugiej niestety nic, jedna jest wciąż na miejscu, a druga -przed laty wypożyczona na wystawę- wylądowała jako depozyt w pelplińskim muzeum, co, dopóki nie wróci na miejsce, znacznie zubaża nasz lokalny skarbiec dziedzictwa kultury.

Po takim wstępie godzi się natychmiast wymienić o jakich to zabytkach snycerstwa mowa. Otóż chodzi o rzeźbę Matki Bożej z Dzieciątkiem z Kowalewa i figurę „św. Piotra z Pluskowęs. Obydwa te dzieła, ze względu na ich walory artystyczne, wiek reprezentatywność stylową zasługują na szeroką popularyzację, co przecież i całemu mikroregionowi może przynieść pożytek.

#### Kowalewska Pani

Kościół katolicki pod wezwaniem św. Mikołaja w Kowalewie wybudowano na początku XIV wieku, z krzyżackiej fundacji (potem ten patronat nad kościołem przejmowały kolejne władze państwowe). Jednonawową świątynię wzniesiono na planie prostokąta, a po kilkadziesiąt lat, od zachodu dobudowano jeszcze dwa przęsła. Ostateczny kształt nadała mu przebudowa z przełomu XVII i XVIII wieku, kiedy to od południa dobudowano mu jeszcze kaplicę i od zachodu niewysoką wieżę. Ostatnią znaczącą przeróbkę kościół przeżył w 1900 roku, gdy zmieniono zwieńczenie szczytu wschodniego.

Tu, w środkowym polu głównego ołtarza, w obramieniu z piętnastoma malowanymi medalionami ukazującymi tajemnicę różańca, znajduje się gotycka rzeźba Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Jest wykonana z lipowego drewna (pokrytego polichromią, oraz złoceniami) i mierzy około 70 centymetrów wysokości. Madonna przechylona jest leciutko do tyłu, zaś głowa nieznacznie w lewo (w naturalnym geście ku Dziecku). Prawą rękę ma opuszczoną, trzymając berło, na lewej piastuje siedzące, nagie Dzieciątko, które w lewej ręce dzierży złote jabłko, natomiast prawą, zgiętą w łokciu ma uniesioną jak do błogosławieństwa. Odziana w złocistą suknię. Zaokrągloną twarz Marii zdobią jasne, kręcone w pionowe loki włosy i lekki, pogodny uśmiech.

Najprawdopodobniej figura pochodzi z ołtarza szafiastego. Choć ma cechy twórczości prowincjonalnej, nieledwie ludowej, to kilka innych cech solidności artystycznej wskazuje na pochodzenie z zawodowego (jednak) warsztatu snycerskiego. Mimo pewnych podobieństw do całej grupy figur rozsianych w okolicach Torunia i Wąbrzeźna, czyli z kręgu toruńskiego Warsztatu św. Wolfganga (od głównego zachowanego dzieła grupy – tryptyku św. Wolfganga z toruńskiego kościoła św. Jana), nasza figura z całą pewnością powstała poza nim, cechy stylowe wskazują, że jest wcześniejsza (ok. 1400 roku) i choćby ze względu na brak „realistycznej portretowości”, musimy uznać, że nie wyszła spod renomowanego dłuta.

To nie, ponieważ mamy podstawy do przypuszczeń, że mogła cieszyć się popularnością (jeżeli to dobre słowo w odniesieniu do przedmiotu kultu), skoro przetrwała od średniowiecza jako eksponowana.

Kiedy, w jakich okolicznościach pojawiła się w Kowalewie, to dziś dokładnie trudno odtworzyć. W tradycji najbliższych okolic próżno dziś szukać śladów jakiegoś kultu „Matki Boskiej z Kowalewa”, co by świadczyło, że rzeźba jest tu od stosunkowo niedługiego czasu (mowa o czasie w pojęciu historycznym, wszak taka tradycja, oprócz rozmaitych uwarunkowań zazwyczaj potrzebuje nieco czasu), a te najlepsze dopiero dla Sanktuarium nadchodzą.

Mimo to z olbrzymim prawdopodobieństwem możemy ustalić skąd figura do Kowalewa przysłała. Otóż w 1834 roku, w Toruniu władze pruskie postanowiły zburzyć przepiękny, najokazalszy, najbardziej monumentalny (wymiar kościoła: długość: 72 m, szerokość: 30 m, wysokość: 38 m, wewnętrzna wysokość naw: 21 m, wysokość wieży: 49 m) w Nowym Mieście Toruniu kościół i klasztor Dominikanów pod wezwaniem św. Mikołaja (a więc takim samym jak świątynia kowalewska), tylko po to aby odsłonić teren dla pola ostrzału budowanej twierdzy, oraz by postawić na jego miejscu... magazyn pasz i areszt. Popelnili tym samym zbrodnię na wielowiekowym dorobku kultury, unicestwiając perłę ceglanego gotyku, której wystrój wnętrza był wyjątkowo bogaty; w całym kościele znajdowało się 20 ołtarzy (razem z ołtarzem głównym); ponadto były 2 ołtarze w kaplicach na terenie klasztoru i 1 ołtarz w północno-zachodnim narożniku wirydarza. XVIII-wieczne źródła mówią o wielu epitafiach, tablicach nagrobnych, grobowcach i nagrobkach pochowanych tu w podziemiach przedstawicieli rodzin mieszczańskich i szlacheckich z ziemi chełmińskiej, m.in. Tylickich, Elzanowskich, Dąbskich, Trzczańskich, Porczyńskich, Łąckich.

Na całe szczęście większość wyposażenia kościoła nie przeznaczono do zniszczenia, tylko łaskawie zezwolono na rozdzielenie go między okoliczne kościoły. (m.in. dwa krucyfiksy - Mistyczny i Czarny oraz feretron różańcowy do kościoła św. Jakuba, nagrobek braci Tylickich do kościoła NMP, części ołtarzy do kościołów w Złotorii i Dobrzyniu).

Kowalewski kościół miał szczęście, bo najpierw dostał łuk tęczy z zespołem rzeźb, a potem aż trzy ołtarze (główny i dwa boczne).

Barokowy ołtarz główny, pochodzi z 1700 roku. Choć został przekształcony w XIX wieku, właśnie z powodu „przeprowadzki” do Kowalewa, to przecież zachował wiele ze swej oryginalnej formy i ustawienia detali, podobnie jak dwa boczne. Dzięki temu samemu patronowi obu świątyń, ta kowalewska zyskała XVIII wieczny obraz „dobrej roboty” przedstawiający patrona, czyli św. Mikołaja. Jest umieszczony w zwieńczeniu ołtarza głównego.

Bardzo prawdopodobne jest, że razem z łukiem tęczowym i trzema ołtarzami, pod opiekę kościoła w Kowalewie przekazano figurę Matki Bożej z Dzieciątkiem.

Moim zdaniem jej kult nie zdążył się rozwinąć, ponieważ zadziałało wiele czynników; nie ma żadnych śladów aby rzeźbę przeniesiono uroczyście (co dało by jej odpowiednie wprowadzenie), kapłani i lud niewiele o niej wiedzieli (brak tradycji kultu, zaś ta, w innym miejscu musiała być skoro figura posiadała rokokową, XVIII wieczną srebrną sukienkę wotywną), silne środowisko protestanckie, od końca XIX wieku nieustanne wojny, migracje, przesiedlenia.

Mało brakowało, a w ogóle by nie było o czym mówić, ponieważ już w czasach współczesnych rzeźba przeżyła swoją chyba najniebezpieczniejszą przygodę. Oto w pierwszym roku stanu wojennego (1982r), gdy lud bardziej, niż kiedykolwiek garnął się do kowalewskiego kościoła, wojewódzki konserwator zabytków w Toruniu zdecydował wreszcie, że rzeźbę Matki Bożej z Dzieciątkiem należy wpisać do rejestru zabytków odznaczających się wielką wartością artystyczną i historyczną oraz uznania jej za jeden z najcenniejszych zabytków średniowiecznych ziemi chełmińskiej.

Kilkanaście dni po ogłoszeniu oficjalnego komunikatu w tej sprawie, jakaś świętokradcza, parszywa ręka poważyła się wykraść figurę z kościoła. Wierni byli wstrząśnięci, wielu modliło się o jej powrót, tymczasem ówczesna milicja, zajęta tropieniem opozycjonistów niewiele wskórała w poszukiwaniach.

Wreszcie bandzior, który ją skradł, widocznie ukłuty resztkami swojego plugawego sumienia, podrzucił sprofanowaną rzeźbę za miastem. Lecz w jakim stanie! Odarł ją ze srebrzonych sukien, złoconej korony i berła, zaś Dzieciątku oderwał lewą rączkę, gdyż widocznie nie mógł wydostać z niej złotego berła.... Na szczęście naprawa i konserwacja przywróciły ją do poprzedniego stanu.

Dziś rzeźba cieszy się doskonałą opieką miejscowego proboszcza, przywiązaniem wiernych parafian. Warta jest tego, aby obejrzało ją jak najwięcej ludzi. Jednym ułatwi modlitwę, u drugich wzbudzi refleksje, a wszystkim jej widok sprawi radość. Bo też jest w tej figurze mnóstwo radosnych pierwiastków, emanuje z niej sporo cudownego, niezwykłego ciepła, pogody, ba! Radości nawet. Tu, patrząc w dobre oblicze Madonny człowiek odzyskuje spokój, równowagę ducha, wszystkie rzeczy, wszystkie sprawy wracają na właściwe sobie miejsca.

Myślę, że dla Sanktuarium w Kowalewie wielkie dni dopiero nadchodzą!

### **Św. Piotr z ...**

Ledwo kilka kilometrów od Kowalewa, w odległości w sam raz na dobry spacer leży wieś Pluskowęsy. W 1230 roku wzmiankowano ją jako osadę należącą do biskupów kujawskich, jednak z dokumentu wystawionego 63 lata później wynika, że należała już do Zakonu Krzyżackiego. W roku 1311 komtur golubski, przyszedł wielki mistrz (1331-1335, następca Wernera von Orseln), pochodzący z pysznej dynastii Welfów - Luther von Braunschweig lokował wieś na prawie chełmińskim.

W tym samym roku, w którym nastąpiła lokacja wsi, dokonano powołania parafii, a także rozpoczęto budowę ceglanego kościoła, który 140 lat później spłonął, tak „że tylko mury z niego zostały”. Szybko przystąpiono do odbudowy i modernizacji, nadając budowli zasadniczo nie zmieniony do dziś kształt. Następne remonty: w XVI w (szczytu wschodniego), w 1801 (gruntownie cały), w 1901 (wieża, dach), dotyczyły już tylko utrzymania konstrukcji. Ostatecznie kościół jest salowy, z wieżą na planie kwadratu, zaś wewnątrz nakryte jest stropem belkowanym. Co ważne, niemal cały wystrój jest rokokowy (*następny po baroku, odznacza się lekkością i dekoracyjnością form, swobodną kompozycją, asymetrią i płynnością linii oraz motywami egzotycznymi*), z drugiej połowy XVIII wieku.

Największą zagadką jest – skąd i kiedy w tym, leżącym na uboczu, wiejskim kościele pojawiła się bezcenna, przepiękna artystycznie, średniowieczna rzeźba św. Piotra (apostoł, pierwszy papież, syn rybaka z Betsaidy galilejskiej, mieszkaniec Kafarnau, rybak, uczeń Jana Chrzciciela, przyprawiony do Chrystusa przez swego brata Andrzeja, męczennik), powstała w jednym z najbardziej renomowanych warsztatów średniowiecznej europy?

Figura ma wysokość 109 centymetrów, wykonana w lipowym drewnie, z tyłu wydrążona i osadzona na lipowej konsolce z trzpieniem. Święty Piotr ma głowę przechyloną w prawo, a w opuszczonej prawej ręce dzierży klucze (symboliczne klucze Królestwa Bożego), podtrzymując jednocześnie połą płaszcza. W lewej ręce ma zamkniętą księgę.

Rzeźba jest wykonana z nieprawdopodobną precyzją. Twarz jest drobniawo wymodelowana, widać na niej napięcia skóry, rozchylone lekko wargi odsłaniają zęby, czoło, oraz okolice oczu są pokryte naturalnymi zmarszczkami. Ten sam pietyzm wykonania odznacza się na dłoni, gdzie pod napiętą skórą widzimy zarys kości, a nawet żył! Koniecznie trzeba zwrócić uwagę na elegancję, idealne upozowanie sylwetki, wyraźną wytworność św. Piotra.

W całej Ziemi Chełmińskiej nie ma figury o tej samej metryce (średniowiecznej), która swym kunsztem artystycznym, dokładnością, mogłaby dorównać tej z pluskowęskiego kościoła!

Renomowani znawcy sztuki, po dokonaniu analizy wszystkich szczegółów doszli do wniosku, iż rzeźba wyszła z monachijskiego warsztatu samego Erasmusa Grassera (co zresztą tłumaczy jej osamotnienie)!

Tak, tak, tego samego Grassera (ok. 1450-1518), który stworzył niedoścignione swym pięknem popiersia proroków i świętych ze stali kościoła Panny Marii w Monachium, tego samego Erasmusa Grassera, który wywołał mały skandal i zachwyt przez wyrzeźbienie szesnastu egzotyczno groteskowych figur tancerzy, zdobiących salę tańca w monachijskim ratuszu, tego mistrza nad mistrze średniowiecznej rzeźby!

Skąd się wzięła w Pluskowęsach?

Jej sposób zaaranżowania wskazuje, że pochodziła albo z jakiegoś ołtarza szafiastego, albo ze zwieńczenia zaplecków stali. Nie wykluczone, że została „pozyskana” nie do końca legalnie, albo trafiła do XIX wiecznego handlarza sztuką po likwidacji, modernizacji jakiegoś niemieckiego kościoła (może się to wiązać z ruchami protestanckimi). Jakimś dowodem na to jest fakt umyślnego (na co wskazują ślady, a co było praktyką XIX wiecznych antykwarystów) pozbawienia rzeźby jej polichromii (z protokołu konserwatorskiego wynika, iż św. Piotr występował w złożonym płaszczu, włosy brązowe, ciało jasnoróżowe, księga ciemnozielona, z czerwonym brzegiem).

Kto mógł ją ufundować kościołowi? Hmm, tu również nie ma żadnej pewności. Na przykościelnym cmentarzu znajdują się groby Sulerzyskich z pobliskiego Piątkowa, oraz Kossowskich z Gajewa, zaś po drugiej stronie drogi stoi dawny pałac Moellerów, od 1836 roku do przywrócenia Polski właściciele wsi Pluskowęsy (najpierw Otto, a potem jego syn Theophil Moeller). Z całej tej „trójki podmiotów”, najbardziej prawdopodobnym fundatorem rzeźby jest członek rodu Sulerzyskich – Natalis (Moellerowie byli ewangelikami i raczej mogli wspierać postawiony w Kowalewie 1857 kościół ich wyznania, natomiast Kossowscy nie mieli żywszych związków ze świątynią w Pluskowęsach).

Dziś fakt, że nie znamy fundatora i paru dat jest zupełną błażostką w porównaniu z o wiele gorszą realnością, otóż w pluskowęskim kościele wciąż nie ma ... rzeźby! Została wypożyczona z tutejszej świątyni na wystawę „Kultura artystyczna Ziemi Chełmińskiej w czasach Kopernika”(połowa lat 70 ubiegłego wieku), gdzie błysnęła, wielu wprawiając w zachwyt, po czym do Pluskowęs już nie wróciła.

Za mocno błysnęła i wylądowała w ... Muzeum Diecezjalnym w Pelplinie. Oficjalnym powodem był fakt, że w tamtym czasie kościół w Pluskowęsach nie miał systemu zabezpieczającego przed złodziejskim włamaniem. W trakcie krótkiej rozmowy z obecnym księdzem proboszczem dowiedziałem się, że czyni on starania o powrót rzeźby. Są pewne nadzieje. Daj Boże, bo tam, w dalekim Pelplinie jest jedną z wielu, a w Pluskowęsach mogłaby błyszczeć na szerokie okolice blaskiem najjaśniejszego klejnotu.

Dwie wspaniałe rzeźby, dwie różne historie, dwa tajemnicze losy, które spotkały się tak niedaleko od siebie. Ich dzieje doskonale wpasowują się w historię ziemi na którą ostatecznie trafiły. Rzuciły nimi wichry burzliwych czasów, głąskały dni pogodne, a teraz czas na spokój i pracę świadomych ludzi aby obie miały stałe miejsce nie tylko to fizyczne, ale też w sercach tutejszego społeczeństwa. Potem niech je pozna cała nasza Ojczyzna...